

# Legendy o ziemi Tarczyńskiej



ISBN 978-83-945398-3-2

51 2200

# **LEGENDY O ZIEMI TARCZYŃSKIEJ**



Tarczyn 2017

Redaktor:  
Alfred Kohn

Grafika na okładce:  
Stefan Welbel

Patronat honorowy Konkursu:  
Barbara Galicz – Burmistrz Tarczyna

Wydawca:  
Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie

ISBN 978-83-945398-3-2

Wykonanie:  
Drukarnia J.J. Maciejewscy - Przasnysz

Protokół Gminnego Konkursu Literackiego  
„Legendy o Ziemi Tarczyńskiej”

Dnia 24 października 2017 r. w Warszawie rozstrzygnięto  
Gminny Konkurs Literacki „Legendy o Ziemi Tarczyńskiej”

Jury w składzie:

Jan Zdzisław Brudnicki – krytyk literacki, przewodniczący Jury,  
Alfred Kohn – dyr. Gminnego Ośrodka Kultury w Tarczynie, sekretarz

Jury

po przeanalizowaniu 23 prac uczniów szkół Ziemi Tarczyńskiej i osób  
dorosłych postanowiło nagrodzić i wyróżnić następujące osoby:

Szkoły podstawowe:

I nagroda – Godło **Rex** – Jakub Kołaciński, PSP Tarczyn –  
opiekun Monika Franckowska,

II nagroda – Godło **Liście** – Nina Szmajdewicz, PSP Tarczyn  
– opiekun Monika Franckowska,

III nagroda Godło **Jaskółka** – Ewelina Zawadzka, PSP Tarczyn –  
opiekun Iwona Gosek.

Wyróżnienia:

Godło **Szyszka** – Wiktoria Gruszczyńska, PSP Tarczyn –  
opiekun Iwona Gosek,

Godło **Krzeseł** – Jan Myziak, PSP Tarczyn – opiekun Iwona Gosek.

Gimnazjum:

I nagroda - Godło **Stokrotka 123** – Maria Kielbus,  
Gimnazjum w Tarczynie – opiekun Agnieszka Chudzikowska,

II nagroda – Godło **Rycerz** – Marcin Gajda, Gimnazjum w Pamiętce –  
opiekun Justyna Kołacińska,

III nagroda - Godło **Kuloodporny** – Agata Stępniewska,  
Gimnazjum w Pamiętce – opiekun Justyna Kołacińska.

Wyróżnienie:

**Godło – Deszcz** – Natalia Olczak, Gimnazjum w Tarczynie –  
opiekun Agnieszka Chudzikowska

Osoby dorosłe:

Wyróżnienia:

Godło **Lapis Lazuli** – Anna Piliszewska (Wieliczka ul. Grottgera1/1),  
Godło **Czarny wujek** – Waldemar Wyleziński (Konstancin Jeziorna.)

Konkurs „Legendy o ziemi tarczyńskiej” o pochodzeniu swojej miejscowości trwa od 2005 roku i ciągle daje żywe, ciekawe prace. Coraz częściej biorą w nim udział, co cieszy jury, osoby dorosłe. Konkurs wykracza poza obszar Gminy Tarczyn, czego dowodem są prace nadesłane z Konstancina-Jeziornej i Wieliczki.

Większość prac dotyczy Tarczyna, ale są też wartościowe zapisy dotyczące innych okolicznych miejscowości należących do Gminy Tarczyn.

Almanach zawsze pozostaje jako wartościowe podsumowanie konkursu.

Gratulujemy wszystkim uczestnikom a nauczycielom, zachęcających uczniów do brania udziału w konkursie, serdecznie dziękujemy.

*Jan Zdzisław Brudnicki  
Alfred Kohn*

# **Szkoły podstawowe**



## **I nagroda**

**Godło – „Rex”**

**Jakub Kołaciński, PSP Tarczyn**

**– opiekun Monika Franckowska**

### **Magiczne jabłonie**

Dawno, dawno temu w mazowieckiej puszczy, nad rzeką, która leniwie wiła się wśród drzew, mieszkał Bożydar wraz ze swoją rodziną. Byli to bardzo biedni ludzie, a żyło im się ciężko. Brakowało nawet jedzenia. Mieszkali w nędznej chacie, w której hulał wiatr, a często nawet deszcz ściekał na głowę. Zwierzęta dawno wyniosły się z tych terenów, ponieważ w okolicy grasował drapieżca, którego jeszcze nikt nie widział. Nawet rośliny nie rodziły owoców. Rodzina mimo wszystko wyglądała na szczęśliwą. Każdego dnia wędrowali po okolicznych lasach, aby znaleźć coś do jedzenia. Ojciec zamartwiał się losem najbliższych, bo mimo, że bardzo się starał i pracował bez wytchnienia, wiedział, że jego dzieci cierpią głód. Żadne z nich jednak się nie skarżyło i wszyscy próbowali pomóc tacie. Mimo trudnej sytuacji w domu, na każdym kroku widać było, że mieszkańcy się kochają.

Pewnego dnia, późnym wieczorem, gdy jedli bardzo skromną kolację, do drzwi domu ktoś zapukał. Wszyscy się zdziwili, bo nie widzieli w tej okolicy żywej duszy, odkąd znikły zwierzęta. Dodatkowo od rana niebo zasłaniały ciemne chmury i padał okropny deszcz. Pogoda była tak straszna, że nawet ojciec tego dnia nie udał się na poszukiwanie pożywienia. Wszyscy zastanawiali się kto odważył się ruszyć w puszcze w tak trudnych warunkach.

Gdy ojciec otworzył drzwi, zauważyli mężczyznę. Cały był przemoczony i zziębnięty. Nie mówił zbyt wiele o sobie. Wyjawił tylko, że nazywa się Tarczyn. Okazało się, że nieznajomy zgubił się po drodze. Jego koń przestraszył się i uciekł, a on sam z oddali zauważył światło w oknach chaty i udał się w tę stronę. Nie wiedział nawet gdzie jest. Ojciec znał miejsce, którego poszukiwał przybysz, ponieważ sam stamtąd pochodził. Osada ta mieściła się jednak bardzo daleko. Niestety nocą, wśród ulewy bardzo łatwo zgubić drogę, tak jak stało się tym

razem. Bożydar wytłumaczył to wszystko wędrowcowi. On bardzo się ucieszył, podziękował i postanowił, że skoro zna drogę, wyruszy dalej.

Gdy tylko żona Bożydara zorientowała się, co chce uczynić nieznajomy, ostrzegła go, że nocą w puszczy jest bardzo ciemno i niebezpiecznie. Zwłaszcza od kiedy grasuje tu groźny drapieżca. Odradziła mu więc opuszczanie domu i w myśl słów, gość w dom Bóg w dom, zaferowała gościnnie. Poczęstowała gościa ostatnimi resztkami jedzenia jakie mieli, a jej mąż oddał mu swoje posłanie. Następnego ranka, gdy wszyscy się obudzili, zauważyli, że wędrowca nie było już w chacie. Znaleźli go stojącego pod drzwiami. Widać było, że bardzo się spieszył, by wyruszyć w drogę. Chciał tylko podziękować za okazaną troskę i odwdziżyć się za pomoc tym co miał najcenniejszego. Widział bowiem, ile trudu kosztowało biednych rolników nakarmienie i przyjęcie gościa, a przyjęli go czym chata bogata. W zamian za to wszystko ofiarował Bożydarowi dziesięć małych, ciemnych ziarenek. Mężczyzna nie wiedział, na co mu ten podarunek, co ma z tym zrobić i nie bardzo chciał je przyjąć. W swojej skromności uważał zresztą, że nie zrobił nic niezwykłego, więc nie należą mu się żadne dary. Nieznajomy poprosił jednak, żeby wsadził te ziarenka w ziemię pod domem. Musi jednak pamiętać, aby uczynić to nocą w pełnię księżyca. Rodzina nie wierząc specjalnie w sens tego co mówił, podziękowała i przyjęła dar. Nieznajomy jeszcze raz serdecznie się pożegnał i ruszył w podróż. Nocą bez przekonania wypełnił polecenie wędrowca. Niespecjalnie wierzył w to, co robi, ale pomyślał, że przecież wędrowiec może kiedyś wrócić i mogłoby być mu przykro, że rodzina zlekceważyła jego dar.

Gdy rankiem dzieci wybiegły przed dom, nie wierzyły własnym oczom. Na wprost wejścia rosły olbrzymie drzewa, pokryte pięknymi czerwonymi owocami. Natychmiast zawołały rodziców. Bożydar zerwał czerwony owoc i spróbował, czy jest jadalny. Jego smak okazał się cudowny. Jednocześnie sycił i pozwalał zaspokoić pragnienie. Rodzina szybko zebrała plon, ale co dziwne czym więcej jabłek zrywano, tym więcej pojawiało się na gałęziach. Mama przygotowała zapasy dla wszystkich. Okazało się, że owoce można spożywać na surowo, gotować i piec. W każdej postaci smakowały tak samo dobrze, a najważniejsze było to, że nigdy ich nie brakowało. Cudowny zapach rozniósł się po okolicy. Wieść o tych magicznych owocach rozeszła się bardzo szybko. Z odległych stron przybywali nieznajomi ludzie, którzy

chcieli ich skosztować. Gdy tylko spróbowali tego słodkiego smaku, prosili, aby Bożydar pozwolił im zostać w tej okolicy i pomagać mu w zbiorach.

Los rodziny szybko się poprawił. Ilość kupców i wędrowców sprawiła, że przez puszcę przebiegał prawdziwy szlak handlowy. Powstała w ten sposób piękna i bogata osada. Szybko się też rozrosła. Ludziom żyło się dostatnio i dobrze. Z nasion jabłek, które podarował Bożydarowi tajemniczy nieznajomy posadzili sady, które dawały im utrzymanie. Prócz tego pięknie ozdabiały okolicę swoim kwieciem i zapachem, gdy kwitły. Mieszkańcy nazwali gród Tarczynem od imienia tajemniczego wędrowca, a cudowny owoc, który przyniósł im tyle dobrego, uczynili swoim symbolem.

Na pamiątkę tego wyjątkowego spotkania, które odmieniło los rodziny Bożydara, każdego roku, jesienną porą, gdy opuszczają się deszcze, po dziś dzień wszyscy mieszkańcy Tarczyna obchodzą Święto Owocobrania.

## II nagroda

Godło – „Liście”

Nina Szmajdewicz, PSP Tarczyn

– opiekun Monika Franckowska

### Tarczyńskie jabłuszko

Czy wiecie, skąd wzięło się jabłuszko na rynku w Tarczynie?  
A dlaczego owoc jest nadgryziony?

Legenda głosi, że za górami za lasami i za rzekami żył olbrzym. Mieszkał on na skraju lasu. Lubił wędrować. Często chodził na długie spacery. Pewnego dnia zaszedł bardzo daleko, bo aż tam, gdzie dzisiaj leży Tarczyn. Dawniej ten teren był porośnięty jabłoniowym sadem.

Kiedy zobaczył drzewa uginające się od soczystych, dorodnych i smakowicie wyglądających owoców, od razu zgłodniał. Zerwał on jedno jabłko i zjadł, potem kolejne i jeszcze jedno i jeszcze, aż nasycił swój ogromny apetyt.

Po obfitym posiłku olbrzym postanowił wędrować dalej. Nagle zauważył stary domek. Zapukał, drzwi otworzył staruszek.

- Witam cię wielki człowieku – przywitał się starzec.
- Dzień dobry - odpowiedział olbrzym.
- Czemu kradłeś jabłka z mojego sadu? – zapytał staruszek.
- Nie wiedziałem, że to pańskie owoce. Są pyszne - odrzekł.

Chciałbym przeprosić za swoje zachowanie, może coś dla pana zrobić?

- Skoro smakowały ci jabłka, to proszę cię o opiekę nad sadem. Wybieram się w długą podróż i nie wiem, kiedy wrócę.

Olbrzym chętnie przystał na propozycję i od tej pory sumiennie dbał o drzewka. Mijały tygodnie, miesiące a nawet lata, a właściciel nie wracał. Każdego roku olbrzymowi udawało się wyhodować większe i dorodniejsze owoce. Otrzymywał za nie coraz wyższe ceny. Każdy zarobek ze sprzedaży jabłek odkładał i pieniądze czekały na właściciela.

Kiedy sadownik wrócił, był zdziwiony rozmiarami owoców.

- Jak ty to zrobiłeś przez te kilka lat mojej nieobecności. Ja, czarodziej przez całe moje życie próbowałem tego dokonać - zapytał staruszek.

- Nie zrobiłem nic takiego, po prostu dbałem o drzewka i obdarzałem je miłością - odpowiedział olbrzym.

- A więc w tym tkwiła tajemnica, której nie mogłem odkryć - myślał głośno czarodziej.

Na pamiątkę tej znajomości czarodziej rzucił czar na jedno z nadgryzionych przez olbrzyma jabłek. Poprosił go, żeby ustawił skamieniały owoc pośrodku sadu.

Olbrzym i staruszek pożegnali się i każdy z nich poszedł w inną stronę.

Wiele stuleci później odkryto ogromne jabłko, a wokół niego wybudowano osadę, którą nazwano Tarczynem.

### **III nagroda**

**Godło – „Jaskółka”**

**Ewelina Zawadzka, PSP Tarczyn**

**– opiekun Iwona Gosek**

### **Legenda o Targu**

Działo się to dawno temu, gdy Mazowsze puszcze pradawne porastały. Pewien chłopak imieniem Wojciech zgubił się w gęstym borze. Opuścił on niedawno swoich ubogich rodziców i ruszył w świat w poszukiwaniu bogactwa. Biedak, trafił na nieznanne mu tereny i przypadkowo zboczył ze ścieżki, której więcej znaleźć nie mógł. Włóczył się więc po lesie, aż w końcu, gdy było dawno po zmroku, ze zmęczenia padł pod przypadkowym drzewem.

Rano obudziło go uderzenie w głowę. Zaspany otworzył oczy i rozejrzał się chwilę. Był już późny ranek, ale nie zmartwiło to Wojciecha, ponieważ nigdy nie był rannym ptaszkiem. Chłopak, zauważył jabłko obok swojej nogi, którym najprawdopodobniej dostał w głowę. Wstał i zobaczył przed sobą majestatyczną jabłoń, na której rosły bardzo dorodne owoce. Wojciech postanowił skosztować daru drzewa. Nigdy nie jadł czegoś tak wspaniałego! Nazbierał trochę jabłek i postanowił zostać tu na trochę.

Po kilku dniach, gdy poszedł po wodę do pobliskiej rzeki, usłyszał jakiś hałas. Zaczął iść brzegiem i ukazało mu się skrzyżowanie dróg. Stało na nim mnóstwo powozów konnych. Wojciech dowiedział się od znajdujących się tam ludzi, że krzyżują się tu szlaki handlowe z Radomia do Warszawy i z Zakroczymia do Poznania. Chłopak zaskoczony tym faktem, zaczął w głowę zachodzić, jak by można było to wykorzystać. Wpadł na genialny pomysł. Zebrał mnóstwo jabłek i postanowił sprzedawać je przy szlaku. Z kilku drewnianych pali zbił prowizoryczny stragan, ustawił go nieopodal drogi i zaczął handlować owocami. Początkowo nikt nie kupował od niego jabłek, lecz z czasem schodziły się tam tłumy, aby skosztować soczystych owoców. Gdy Wojciech znalazł w lesie jeszcze gruszki, jagody, maliny oraz poziomki i przyniósł je na swój stragan, nie mógł opędzić się od klientów.

Wiele lat później, gdy chłopak już się wzbogacił, wybudował dom i sprowadził swoich rodziców, aby na stare lata im ulżyć. Niedługo potem ożenił się z niejaką Wandą. Niedaleko miejsca, gdzie znajdował się jego stragan, coraz więcej ludzi zaczęło sprzedawać swoje towary, a po pewnym czasie utworzono w pobliżu osadę, którą Targiem nazywano. Wybudowano tam kościół, a osada rozwijała się bardzo szybko.

Lata po śmierci Wojciecha, gdy jego prawnuki dochodziły wieku podeszłego, książę mazowiecki Kazimierz I, dzięki wpływowi księdza Jana, proboszcza lokalnej parafii, postanowił nadać wsi prawa miejskie. Pojawił się jednak problem, ponieważ osada porządnej nazwy nie posiadała. Zebrała się więc starszyzna, z prawnikiem Wojciecha, Bogusławem na czele i zaczęła zachodzić w głowę, ponieważ nazwa miasta to nie błaża sprawa. W pewnej chwili odezwała się kobieta, wdowa po szewcu, której spodobała się nazwa Tarczek. Usłyszała ją kiedyś przez przypadek. Używali jej w rozmowie najmłodszy mieszkańcy osady.

- A może by tak nazwać osadę Tarczkiem? – zaproponowała.

Bogusław, który przewodniczył zebranej starszyźnie, podrapał się po długiej, siwej brodzie i po namyśle rzekł:

- Nie zaprzeczam, że podoba mi się ta nazwa, ale nie pasuje ona do dużego miasta jakim, jak mi niemam stanie się wkrótce nasza miejscowość, więc jeśli nie macie nic przeciwko, to proponuję, żeby od dziś nazywać nasze miasto nie Tarczkiem a Tarczynem, co wy na to?

Zebrana starszyzna poparła pomysł mądrego i szanowanego Bogusława i odtąd aż do dziś miasto nosi nazwę Tarczyn.

W miejscu, w którym niegdyś handlował Wojciech istnieje targ, który chętnie odwiedzają mieszkańcy miasta. Z powodu fantastycznych warunków w Tarczynie i okolicy jest bardzo rozwinięte sadownictwo. Szczególnie dużo jest tu jabłoni, grusz oraz malin, których owoce smakiem przypominają te sprzedawane przez Wojciecha.

**Wyróżnienie**  
**Godło – „Szyszka”**  
**Wiktoria Gruszczyńska, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Iwona Gosek**

### **Legenda o powstaniu wsi Nosy**

W XVI wieku na mazowieckiej ziemi żył sobie pewien rzeźbiarz, którego spośród innych ludzi wyróżniał olbrzymi nos. Martwiło go to bardzo, więc rzadko wychodził ze swojej chaty na skraju boru, bo wstydził się swojego wyglądu. Wiedział, że ludzie wytykają go palcami i nazywają go Nosalem. Mężczyzna był dobrym i skromnym człowiekiem, który nie miał dużych wymagań i wiódł spokojne życie. Miał dwóch synów. Jednak żaden z nich nie wrodził się w ojca. Obaj byli pazerni i chciwi. Nosal rzeźbił różne rzeczy, ale uważał, że nie są dość dobre, więc nikomu ich nie pokazywał.

Pewnego sobotniego popołudnia do chaty rzeźbiarza przybył na białym koniu zamożny szlachcic, który chciał chwilę odpocząć w drodze do Warszawy. Zobaczył prace Nosala i zachwycił się nimi. Potem poprosił go, żeby wyrzeźbił coś dla niego w lipowym drewnie. Nosal był zaskoczony taką prośbą, ale zgodził się. Tydzień później rzeźba była gotowa. Szlachcic oglądał z uwagą swoje piękne, lipowe popiersie i uznał jego autora za najlepszego rzeźbiarza z jakim miał do czynienia. Jako zapłatę za dzieło Nosal otrzymał kilkanaście sztab złota. Postanowił je zakopać w ziemi niedaleko swojej chaty, bo wiedział, że jego synowie zabraliby mu wszystko.

Po kilku latach Nosal zmarł. Wszyscy sąsiedzi zebrali się, aby go pożegnać. Przybył także bogaty szlachcic, który chciał, aby na dobre zapamiętano tego wspaniałego rzeźbiarza. Synom Nosala ofiarował w prezencie po worku złotych monet. Bracia byli tak szczęśliwi, że zapominając o śmierci ojca, wyjechali nikomu nie mówiąc gdzie. Wkrótce wokół domu zmarłego wyrosły dzikie krzewy, a sąsiedzi wyprowadzili się w bardziej zaludnione miejsca. Tymczasem bogaty szlachcic cały czas pamiętał o Nosalu i wybudował dla siebie zamek tuż koło domu zmarłego rzeźbiarza.

Po kilkunastu latach, gdy bogacz także zmarł, jego córka znalazła pamiętnik ojca, z którego dowiedziała się, że gdzieś w pobliżu zamku zakopane jest w ziemi złoto. Postanowiła rozgłosić tę wieść w całym kraju. Odtąd ludzie zjeżdżali się i szukali cennego kruszcu. Niestety nikomu nie udało się go znaleźć.

Tymczasem córka szlachcica ze starego pamiętnika dowiedziała się o rzeźbiarzu, który wykonał popiersie szlachcica, ulubioną pamiątkę po ojcu stojącą w jej pokoju. Była w ogromnym szoku, ale chciała spełnić życzenie szlachcica, aby pamięć o Nosalu nie zginęła. Dlatego miejsce, w którym mieszkał na jego cześć nazwała Nosami.

Do dziś nikt nie znalazł złota, a Nosy to niewielka wieś położona w gminie Tarczyn. Niestety, po zamku bogatego szlachcica nie zostało ani śladu.

## **Wyróżnienie**

**Godło: - „Krzeseł”**

**Jan Myziak, PSP Tarczyn – opiekun Iwona Gosek**

### **Legenda o ziemi tarczyńskiej**

Dawno, dawno temu z południa na północ Europy wiódł bursztynowy szlak. Była to droga handlowa, która łączyła kraje basenu Morza Śródziemnego w tym starożytny Rzym z Bałtykiem. Bałtycki bursztyn był bardzo znany i pożądany przez ówczesnych mieszkańców południowej Europy.

Jak co roku wczesną wiosną ruszyła wyprawa z bursztynem nad Bałtyku w kierunku południowej Europy. Wyprawa składała się z wojowników i kupców, którzy szli wymienić zebrany po zimowych sztormach bałtycki bursztyn na przyprawy i dobra oferowane przez handlarzy z południa. Wyprawa dotarła do rzeki Vistuli (Wisły), po przekroczeniu której znaleźli się na pięknej równinie otoczonej lasami pełnymi zwierząt. Na jednej z polan wśród starych dębów podróżnicy postanowili rozbić obóz i tam przenocować. Drużyna wojów rozpałała ognisko, wystawiła strażę, po czym wszyscy zjedli strawę i położyli się spać.

W środku nocy, gdy już wygasło ognisko, śpiących kupców zaatakował niedźwiedź. Zaskoczeni wojowie zaczęli się bronić. W końcu zabili nocnego intruza, ale rozjuszony zwierzę poranił jednego z wojowników. Młodzieniec o imieniu Tarczyn, swoim męstwem jak tarczą bronił kolegów. Nie mógł jednak dalej kontynuować wyprawy, gdyż w związku z odniesionymi ranami byłby dla pozostałych niepotrzebnym obciążeniem w dalszej dalekiej drodze. Wszyscy wspólnie postanowili, że zraniony towarzysz pozostanie w tym miejscu do momentu, aż jego towarzysze będą wracali z południa Europy. Minęła piękna wiosna. Tarczyn wyzdrowiał. Nadeszło lato. Dzięki miejscowym lasom, które obfitowały w miód i zwierzynę oraz rybom z pobliskiej rzeki pozostawiony wojownik nie głodował. Czekając na powrót swoich towarzyszy, zaczął budować osadę nad brzegiem rzeczki. Późną jesienią w końcu się pojawili. W zamian za sprzedany bursztyn nabyli przyprawy, broń, ozdoby i inne dobra. Zgodnie z obietnicą daną

Tarczynowi postanowili go ze sobą zabrać z powrotem do rodzinnego domu nad Bałtyk. Jakże wielkie było ich zdziwienie, kiedy na miejscu, gdzie zostawili towarzysza ujrzeni osadę. Strudzeni podróżą postanowili w tym miejscu odpocząć kilkanaście dni.

Wkrótce zaczęły padać jesienne deszcze, wezbrały rzeki i odpoczynek musiał się przeciągnąć. Dłuższy niż planowany pobyt pozwolił kupcom docenić walory miejsca, w którym przymusowo musieli przedłużyć swój pobyt. Tarczyn pokazał kolegom wszystkie bogactwa okolicy. Gdy ustały deszcze a poziom rzek opadł, wszyscy ruszyli do swoich rodzinnych osad nad Bałtyk. Wrócili szczęśliwie do domu, ale ciągle mieli w pamięci miejsce niedaleko rzeki Vistuli, w którym czekał na nich Tarczyn w drodze powrotnej z południa.

Następnej wiosny kilku młodych wojowników na czele z tym o imieniu Tarczyn postanowiło wrócić nad Wisłę i na stałe osiedlić się tam wraz ze swoimi rodzinami. Przywędrowali do wybudowanej wcześniej osady i na cześć jej założyciela nazwali Tarczynem.

I tak pozostało do dnia dzisiejszego, a Tarczyn tak, jak dla jego pierwszego mieszkańca, stał się schronieniem dla wielu wędrowców szukających swojego miejsca na ziemi.

**Godło – „Dziennikarz”,  
Kacper Czajkowski, PSP Tarczyn  
– opiekun Monika Franckowska**

## **Zaczarowana mitra**

Dawno, dawno temu na Mazowszu wśród lasów i łąk mazowieckich, z dala od ludzi żyła rodzina pewnego chłopca. Byli oni bardzo biedni i cierpieli straszny głód. Wszelka zwierzyna już dawno wyniosła się z tych terenów. Mieszkali w starej i lichej chacie. Mieli dwójkę dzieci. Mimo swego ciężkiego losu byli szczęśliwi, ale bali się o swoją przyszłość. Ojciec często wyruszał na polowania, ale niestety wracał z pustymi rękoma. Serce rozdzierał mu ból, gdy patrzył w oczy swojego synka. Matka zajmowała się domem i doglądała gospodarstwa. Widać było, że naprawdę się kochają, a wszyscy wokół mogli liczyć na ich pomoc, gdyż mimo, że biedni, sprawiali wrażenie naprawdę szczęśliwych. Dzieci często pomagały mamie w domu, a tacie przy pracach w polu.

Pewnego słonecznego i bardzo ciepłego dnia, gdy bawiły się przy trakcie, usłyszały odgłosy walki. Wystraszyły się okropnie, bowiem bardzo rzadko ktoś obcy pojawiał się w tej okolicy, a dodatkowo niepokojące dźwięki sprawiły, że zdawały sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Szybko poszły poinformować o tym ojca. Zaniepokojony tata natychmiast udał się, by sprawdzić skąd dobiegają odgłosy. Niestety droga znajdowała się dość daleko od ich domu, więc dotarcie tam zajęło mu sporo czasu. Po kilku minutach, gdy już tam dotarł, zobaczył czterech leżących mężczyzn i przewrócony wóz. Trzech z nich było martwych, a czwarty ledwo oddychał. Był ranny i mocno pobity. Ojciec szybko domyślił się, że zostali napadnięci i obrabowani przez leśnych zbójców. Chciał spytać się co się stało, lecz mężczyzna był nieprzytomny. Szybko pobiegł po żonę i dzieci i całą czwórką wrócili po rannego. Zanieśli go do domu, położyli na łóżku, dali pić oraz przemyli rany i przyłożyli maścią zrobioną przez żonę.

Wszyscy byli ciekawi, kto to jest i co go spotkało. Niestety z rannym nie było żadnego kontaktu. Wszystko wskazywało na to, że nie uda mu się przeżyć. Mimo tego rodzina bardzo troskliwie opiekowała się

mężczyzną. Ojciec pilnował, by w chacie było ciepło, matka opatrywała rany, a dzieci znosiły z lasu lecznicze zioła. Nieznajomemu oddano nawet jedyne posłanie, które znajdowało się w chacie. Na szczęście po trzech dniach mężczyzna odzyskał przytomność. Radości nie było końca. Nakarmiono go i napojono. Boguchwał dowiedział się od niego, co się stało oraz kim jest.

Okazało się, że to biskup z wielkiego miasta. Zbójcy napadli go podczas podróży, ograbili, jego towarzyszy zamordowali, a jego samego pobili, okradli i myśląc, że już nie żyje, zostawili na pewną śmierć. Wędrowiec przez kolejne dwa tygodnie dochodził do siebie. Gdy był już w pełni sił, postanowił wyruszyć w dalszą podróż. Bardzo chciał jednak odwdziżyć się za uratowanie życia i za opiekę. Jediną ceną rzeczą jaką posiadał, była czapka biskupia zwana przez niego mitrą. Mimo, że ojciec nie chciał jej przyjąć, wędrowiec wręczył mu ją, mówiąc, że nie godzi się nie odwdziżyć się za okazane serce.

Boguchwał twierdził, że na nic nie przyda mu się takie nakrycie głowy, bo ani nie grzeje, ani przed wiatrem nie chroni. Nieznajomy kazał mu jednak wypruć z niej złote nitki i w odległym mieście wymienić na potrzebne dobra. Matka uczyniła tak, jak polecił gość. Już jedna złota nić, wystarczyła, by ojciec w odległej osadzie zdobył pożywienie i rodzina wreszcie mogła najeść się do syta.

Co dziwne, na mitrze nie było śladu po wyprutej nitce, wręcz odwrotnie, wydawało się, że złota jest jakby więcej. Była to prawda. Czym więcej nici wypruwano, tym więcej się pojawiało. Dzięki temu rodzina Boguchwała szybko stała się bogata. Wieść o tym dziwnym wydarzeniu rozniosła się po okolicy. Zewsząd przybywali zaciekawieni ludzie z nadzieją wzbogacenia się, ale gdy orientowali się, jak mądrym i rozważnym gospodarzem jest Boguchwał, osiedlali się w tej okolicy i korzystali z jego pomocy. W ten sposób powstał zamożny gród zwany Tarczynem. Czapkę podarowaną przez tajemniczego nieznajomego roztropny Boguchwał ustanowił herbem grodu i tak jest po dziś dzień.

**Godło – „Hiszpania”**  
**Kamil Olczak, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Monika Franckowska**

## **Kot i rydz**

Setki lat temu na północnym wschodzie osady Tarczyn mieszkało plemię Rydz. Była to grupa spokrewnionych ze sobą rodów, która wywodziła się od wspólnego przodka. Ludzie ci czuli się sobie bliscy, posługiwali się tym samym językiem i wyznawali tę samą religię. Ich codziennym ubraniem było kozie futro obwiązane pasem ze skóry lisa. Mężczyźni nosili ogromne pióropusze zrobione z piór bażantów lub kuropatw i bardzo lubili polować. Co najmniej trzy razy w tygodniu udawali się do lasu na łowy. Kobiety zaś na szyi nosiły naszyjniki z owoców jarzębiny. Zajmowały się dziećmi, przygotowywaniem jadła i pasaniem kóz.

Pewnej gwiaździstej nocy na terytorium plemienia wszedł mały, czarny zwierz. Miał on na ogonie niewielkie znamię w kształcie grzyba. Rano, kiedy mieszkańcy wykonywali swoje codzienne obowiązki, syn wielkiego wodza Dębka - Bryłek poszedł do studni, która znajdowała się za największym szałasem należącym do jego ojca. Po drodze zobaczył zwierzę śpiące na kamieniu. Zauroczony jego wyglądem, postanowił je zabrać. Wódz nie był zachwycony pomysłem syna, lecz po jego długich namowach i zapewnieniach, że stworzenie jest łagodne i daje się głaskać, zgodził się. Mieszkańcy plemienia postanowili nazwać istotę kotem.

Kilka tygodni później, pewnego deszczowego dnia, syn wodza Dębka bardzo zachorował. Całe plemię żarliwie modliło się do Boga, o jego rychły powrót do zdrowia. Kot także zorientował się, że Bryłek bardzo źle wygląda, a ponieważ był mądry, poznał, że jego właściciel potrzebuje pomocy. Kiedy wódz zastanawiał się, jak ratować swojego syna, zwierz zaczął głośno miauczeć i ciągnąć go za płaszcz ze skóry upolowanego dzika. Dębek podążył za zwierzęciem, które zaprowadziło go na skraj lasu, gdzie często polował. Następnie, przedzierając się przez gęste zarośla, dotarli na piękną polanę skąpaną w słońcu. Wódz był zachwycony, kiedy ją zobaczył, nigdy nie widział czegoś podobnego.

Na jej środku przechadzały się koty identyczne do zwierzęcia jego syna, okręgały one jakieś rośliny. Okazało się, że były to grzyby - rydze, wyglądające identycznie jak znamię kota. Stworzenie dało mu znać, aby je zebrał. Tak też uczynił i zaniósł koszyk pełen smakowitych rydzów do wioski. Przyrządził je i podał synowi, który na drugi dzień wyzdrowiał.

Członkowie plemienia zaopiekowali się kotami, które w lesie zostały odnalezione przez wodza Dębka. Od tego czasu osadę zamieszkiwaną przez to plemię zaczęto nazywać Kotorydem.

**Godło – „Kamelia”**

**Julia Maszczyk, PSP Tarczyn**

**– opiekun Monika Franckowska**

## **Raczyn i jego tarcza**

Dawno, dawno temu żył król o imieniu Cyryl. Był zły oraz bardzo srogi dla swojego ludu. Nie pozwalał urządzać różnych zabaw, a dzieci bawiące się na dworze, od razu wyganiał do domu. Jedynie sam król mógł korzystać z życia. Wraz ze swoją świtą organizował wystawne przyjęcia, polowania i bale. Swoich podwładnych traktował bardzo surowo. Nikt nie odważył sprzeciwić się złemu królowi. Wszyscy bali się kar. Ponadto władca w przebraniu zwykłego mieszkańca przemierzał ulice, obserwując podwładnych.

Pewnego dnia do miasta przybył kilkunastoletni chłopiec.

- Czego tu chcesz?! – zawołał poirytowany król, widząc nowego mieszkańca.

- Nazywam się Raczyn. Wraz z rodzicami przeprowadziliśmy się tutaj – odrzekł.

- Nie pytam, co tu robisz, ani kim jesteś, tylko czego tu chcesz? Nie przyjmujemy tutaj nowych osób.

- Nie rozumiem? Mam zabronione przeprowadzić się do innego miejsca...?

Chłopiec nie wiedział jeszcze, kim jest człowiek, z którym rozmawiał, więc traktował go jak zwykłą osobę.

Oburzony władca spojrzał na chłopca i szarpnął go za ramię.

- Kim jestem?! Kim jestem?! – zdenerwował się – Jestem tutaj najważniejszą osobą!

- Jestem królem! – wrzasnął już na skraju wytrzymałości.

Ludzie stali wokół władcy kłócące się z Raczynem i nasłuchiwali.

- Nie wiedziałem, że rządzi tu król. Przepraszam. W takim razie... Witam szanowny królu – powiedział kłaniając się i jednocześnie chichocząc pod nosem.

- Opuść cię, ale tylko ten jeden raz! Radzę jak najszybciej opuścić to miejsce, bo jest w nim odpowiednia ilość mieszkańców i nie potrzebujemy tutaj nikogo więcej!

Król był tak srogi, że zabraniał przebywania na swoim terenie innym ludziom, chyba, że udzielił im na to zgody.

Chłopiec nic nie powiedział, tylko odszedł w stronę bramy, nie zwracając uwagi na zakazy króla.

- Jaki on odważny...

- A jaki śmiały! – szeptali ludzie.

Króla bardzo zadziwiło zachowanie Raczyna. W trakcie kłótni z nim, nie wiedział, co powiedzieć. Wściekał się, że ten bezczelny intruz z niego zadrwił.

Następnego dnia król ponownie spotkał chłopca.

- Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał.

- Mieszkam. Nie mam zamiaru się nigdzie przenosić – odpowiedział spokojnie chłopiec.

- Masz w tej chwili wyprowadzić się stąd!

- Nigdzie się nie wyniosę, zostaję tu!

Po tych słowach król wyraźnie się zdenerwował.

- Dobrze. Skoro jesteś taki śmiały i uparty, wywołuję cię na pojedynek. Jutro w południe widzimy się w tym samym miejscu. Będziesz mógł używać do walki czego tylko chcesz, z resztą ja również. Kto przegrywa, ten opuszcza miasto.

Chłopiec dość długo myślał nad tą propozycją, ponieważ szansa na zwycięstwo była bardzo mała, ale zgodził się.

Gdy Raczyn chciał ominąć króla, niechcący dotknął jego kolana. Wtedy wydarzyła się dziwna rzecz. Władca z krzykiem złapał się za kolano i z wściekłością popatrzył na chłopca. Ten zdziwiony szybko odszedł.

Następnego dnia o wyznaczonej godzinie król, siedząc na koniu, czekał na miejscu bitwy. Miał ze sobą miecz, a wokół niego stali przejęci ludzie. Nagle zjawił się Raczyn. W rękę trzymał trzy kamyki i tarczę do obrony. Król tylko zaśmiał się i spytał chłopca:

- Tym czymś chcesz mnie pokonać?

- Tak – odparł pewnie Raczyn.

Ludzie wydali tylko żalсны okrzyk w stronę dziecka.

- Chłopcze! Nie pokonasz króla kamykami.

Mieszkańcy zaczęli szeptać między sobą. Bardzo chcieli, żeby Raczyn wygrał walkę i został nowym władcą miasteczka.

- W takim razie... Zaczynajmy! – krzyknął z lekką niepewnością król Cyryl.

Zanim władca zdążył zadać cios, Raczyn rzucił w króla kamieniem. Niestety bezskutecznie. Władca sprytnie wyminął lecący w jego stronę kamień. Gdy tylko miał zadać drugi cios, Raczyn rzucił dwoma kamykami w kolano króla. Ten upadł i jęknął z bólu. Król wiedział już, że to przegrana bitwa.

Zapanowała cisza, a zaskoczeni ludzie patrzyli w stronę zwycięskiego Raczyna.

- Jak się dowiedziałeś?! – krzyknął resztkami głosu Cyryl.

- Jak to jak? Sam pamiętasz, przez przypadek uderzyłem cię w kolano. Znalazłem twój słaby punkt. A teraz... wynoś się z MOJEGO miasta! – krzyknął zadowolony Raczyn.

Uradowani ludzie wiwatowali:

- Niech żyje Raczyn! Nasz nowy król!

Postanowiono więc, że to Raczyn zostanie nowym królem. Od jego imienia i tarczy, którą walczył, miasteczko nazwano TARCZYNEM.

**Godło – „Latawiec”**  
**Ola Pracownik, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Aleksandra Wójcik**

Dawno, dawno temu w niewielkim królestwie żył sobie kmić imieniem Julian. Prowadził małe gospodarstwo i dobrze zarabiał na handlu zbożem, lecz najbardziej pragnął zostać rycerzem.

Pewnego dnia postanowił wybrać się do pobliskiego miasteczka, aby odwiedzić swojego dobrego przyjaciela. Nagle coś go zaniepokoiło. Usłyszał głosy, które zachęcająco wzywały go do lasu. Zaciekawiony postanowił udać się tam i dowiedzieć się, o co chodzi. Podążając za głosami, chwilę później ujrzał starą chatę, której uchylone drzwi zapraszały, by do niej wejść. Julian przez chwilę wahał się, ale jednak wszedł do środka. Chata była pusta. Stał w niej jedynie kufier oraz kilka zużytych mebli, prawdopodobnie po ostatnim mieszkańcu. W pewnym momencie z kufra zaczęły wydobywać się strumienie ostrego światła. Okazało się, że w środku leżał złoty miecz, a tuż obok niego – tarcza. Ozdobiona była drogocennymi kamieniami, a w centralnej części miała wykute jabłko. Młodzieniec ucieszył się ze znalezionej skarbu i wyjął go ze skrzyni. Pochwalił się wszystkim mieszkańcom miasteczka, chociaż tajemnicze głosy przestrzegały go, aby go pozostawił w chacie. Nie zdawał sobie sprawy, że takie odkrycie może wzbudzić zazdrość.

Tak też się stało. Wkrótce przybyli do Juliana dwaj wysłannicy z zamku króla, by wziąć od niego ryszstunek. Stwierdzili, że tylko on jest właścicielem skarbu. Władca sam zadecyduje, co zrobi z tak kosztownymi przedmiotami. Jednak Julian nie chciał oddać swojej zdobyczy i dzielnie bronił się przed wysłannikami króla. Szybko wyszło na jaw, że byli to zawistni ludzie, którzy dowiedziawszy się o znalezisku młodzieńca, chcieli mu go odebrać. Władca, kiedy dotarły do niego wieści o waleczności Juliana i jego bohaterskiej postawie, postanowił pasować go na rycerza. Spełniło się największe marzenie kmięcia. Wstąpił do armii króla.

W tym czasie narastał konflikt między Polakami i Szwedami. Doprowadziło to do wybuchu wojny, która okazała się bardzo krwawa i wyczerpująca. Rycerzem, który wykazał się największą odwagą był

Julian. Celne ciosy zadawał swoim mieczem, a osłaniał się przed wrogiem – drogocenną tarczą. Wojna zakończyła się sukcesem Polski.

Na obszarze, na którym toczyły się najcięższe walki pod dowództwem Juliana, powstało miasteczko. Nazwano je Tarczynem, a jego symbolem zostało jabłko. Nazwa miasteczka związana jest ściśle z historią Juliana i jego cudownym skarbem – złotym mieczem i tarczą.

**Godło „Narcyz”**  
**Marta Wylezińska, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Aleksandra Wójcik**

### **Legenda o Tarczynie**

Dawno temu, około XII wieku, niedaleko Warszawy znajdowała się osada, którą zarządzał szlachcic – Edward Tarcza.

Osada słynęła z targów odbywających się na małym rynku, obok kościoła pod wezwaniem świętego Mikołaja. Głównie okoliczni gospodarze handlowali tutaj mięsem, jajkami, mlekiem, zbożem, warzywami i owocami. Pewnego dnia spokój mieszkańców został zakłócony, ponieważ na osadę najechało wojsko pruskie.

Przyczyną napaści była zazdrość wodza, który chciał ograbić tę osadę, która tak świetnie się rozwijała i równocześnie – bogaciła. Kiedy wtargnęli do miasteczka, był dzień targowy. Po kolei niszczyli swoimi szablami stragany, a także kradli towary. Z pobliskich wsi zabierali zwierzęta będące pomocą w polu dla rolników. Reakcja szlachcica Edwarda była natychmiastowa. Zebrał chłopów i razem postanowili bronić osady. Wojsko pruskie dogonili w drodze, gdy tamci już ruszyli w stronę Grójca.

Do starcia doszło przy rzeczce, gdzie dziś odbywają się sobotnie targi. Oddział pruski nie był liczny, dlatego w przeciągu dwóch godzin zostali zgładzeni przez dzielnych chłopów pod dowództwem Edwarda Tarczy. W dowód wdzięczności za udzieloną pomoc zamówili mszę dziękczynną u miejscowego księdza. Wszyscy mieszkańcy przeżywali tego dnia wzruszenie i radość.

Wkrótce postanowiono, że na cześć odważnego Edwarda osada zostanie nazwana od jego nazwiska – Tarcza. Natomiast rzeczkę, nad którą doszło do pokonania wojsk pruskich, nazwano Tarczynką.

**Godło – „Panda”**  
**Aleksandra Jagiello, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Iwona Gosek**

### **Legenda o wsi Nosy**

Onegdaj w małej wiosce o nazwie Żegot, nieopodal Tarczyna żyło młode małżeństwo, Amelia i Ignacy Dąbek. Byli bardzo ubodzy, mieszkali w rozwalającej się chacie. Posiadali niewielkie gospodarstwo.

Ich życie zmieniło się po narodzinach synów – bliźniaków: Amadeusza i Ambrożego. Zaczęło im się lepiej wieść. Powiększyło się ich gospodarstwo, wybudowali wielki dom oraz zatrudnili służbę. Synowie wyglądali jak dwie krople wody, mieli duże, niebieskie oczy, kasztanowe włosy i ciemną karnację. Poza urodą mieli też piękne charaktery, bo byli bardzo szlachetni, odważni i pomysłowi.

W osiemnaste urodziny bliźniaków rodzice wyprawili wielką ucztę. Wszyscy doskonale się bawili, aż do czasu, gdy zaczęła się palić karczma, w której biesiadowali goście. Ludzie byli przerażeni, nie wiedzieli co robić. Ocknęli się po chwili, wybiegli z karczmy i zaczęli gasić pożar. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Następnego dnia ktoś podpalił dom sąsiadów państwa Dąbek. Gdy wszyscy już myśleli, że sprawa ucichła, we wsi spłonęły kolejne chałupy. Wśród ludzi krążyły plotki, że podpalacz ma charakterystyczne, prawie białe włosy. Tymczasem kolejne domy stawały w płomieniach. Proszono najbardziej odważnych we wsi mężczyzn o znalezienie podpalacza, ale nikt nie chciał podjąć się tego zadania. W końcu zdecydowali się na to młodzi bracia Dąbek mimo, że rodzice byli temu przeciwni.

Młodzieńcy rozpoczęli poszukiwania od przepytywania ludzi. Jednak niewiele się dowiedzieli, więc postanowili udać się do najbardziej gadatliwej osoby we wsi, pani Wandy, która znała wszystkie plotki krążące po wsi i nie tylko. Kobieta niewiele wiedziała na ten temat, jedynie powiedziała, że bandyta podobno pochodzi z daleka i nosi pas w jaskrawożółtym kolorze. Bracia Dąbek nieco się zawiedli. Postanowili udać się na miejsce pierwszego podpalenia. Znaleźli tam nadpalony kawałek jaskrawożółtego materiału. Tak samo było na pozostałych

pogorzeliškach. W ostatnim miejscu zniszczonym przez niego wypadła mu kartka, na której były wypisane miejsca kolejnych podpaień. Młodzieńcy dowiedzieli się, że złoçzyńca ma zamiar podpać ich rodzinny dom dziś o północy. Bracia nie powiedzieli o tym nikomu, gdyż nie chcieli wywołać paniki, ale mieli zamiar czekać na podpalacza przez całą noc. Jak powiedzieli, tak zrobili. Jednak podpalacz nie pojawił się. Bracia byli zdziwieni, ale nie odpuszczali i czuwali przez kilka nocy. Wtedy postanowili przeszukać dokładnie swój dom. Zaczęli od strychu. Jakież było ich zdziwienie, kiedy znaleźli tam martwego podpalacza. Okazało się, że chciał się schować w starej szafie i tak nieszczęśliwie przyciął sobie nos ciężkimi drzwiami, że dostał krwotoku i zmarł. Nikt nie wiedział jak to było możliwe, ale nikogo to specjalnie nie obchodziło. Najważniejsze było to, że we wsi zapanował spokój, a ludzie się cieszyli. Po tym zdarzeniu wieś zaczęto nazywać Nosy i tak zostało do dziś.

**Godło – „Pilkarz”**  
**Dominik Szatanek, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Monika Franckowska**

## **Jabłko**

Dawno, dawno temu, chyba w średniowieczu, tam gdzie przecinały się ważne szlaki handlowe, leżała największa na Mazowszu osada targowa. Nazywana była przez wszystkich Tarczynem. Mieszkali tam ludzie ubodzy, ale bardzo dobrzy i pracowici. Domy mieli drewniane, pokryte strzechą. Uprawiali tam ziemię, hodowali warzywa i owoce oraz wypasali bydło. W pobliżu tej wioski płynęła czysta jak łąza rzeczka Tarczynka, wkoło zaś rozciągały się ogromne lasy. W tej pięknej osadzie mieszkał pewien chłop. We wsi wszyscy go znali i lubili. Był ubogim, ale bardzo uczynnym i uczciwym człowiekiem. Nikomu nigdy nie wadził, pomagał w potrzebie i zawsze było można na niego liczyć. Mieszkał on w małym, drewnianym domku na skraju lasu. Przed kilkoma laty spotkała go wielka tragedia, jego żona i córka zaginęły w lesie. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Trwały poszukiwania, lecz nie było żadnego śladu. Mateusz, bo tak miał na imię mężczyzna, nie mógł się pogodzić z utratą rodziny.

Podobny dramat spotkał też innych mieszkańców. Ludzie bali się wychodzić z domów, mówili o potworze mieszkającym w lesie. Mateusz zebrał grupę sąsiadów i wspólnie rozpoczęli poszukiwania. Po długiej wędrówce, znużeni i wyczerpani, położyli się, aby odpocząć. Nagle usłyszeli straszne wycie, a ich oczom ukazał się ogromny stwór, ze świeącymi, czerwonymi oczami.

Byli pewni, że to on porывał ludzi.

Mateusz zapytał potwora:

- Czego ty od nas chcesz? Dlaczego porывasz ludzi?

- Wreszcie Cię zobaczyłem, Mateuszu. Długo na Ciebie czekałem. Twój pradziad zabił moich bliskich, więc teraz pora zemścić się na tobie. Wypuszczę porывanych ludzi, jeśli ofiarujesz mi swoje życie.

- Dobrze, odparł Mateusz, niech ci będzie. Jutro w południe przyjdę w to samo miejsce.

Stwór zgodził się, ale zagroził, że jeżeli nie dotrzyma słowa, to już nigdy nie zobaczy uwięzionych. Mateusz całą noc nie mógł zasnąć, myśląc o dniu i potworze. Bał się okrutnie i pomału żegnał się z życiem. Nagle wpadł na genialny pomysł, zrobi kukłę zawierającą truciznę. Tak też zrobił.

Potwór tak bardzo chciał się zemścić na Mateuszu, że nie zauważył zasadzki i szybko połknął kukłę. Wkrótce zmarł. Z jaskini wybiegli porwani mieszkańcy. Radości nie było końca.

Mateusz został ogłoszony wielkim bohaterem Tarczyna. Odtąd wszyscy żyli długo i szczęśliwie, również Mateusz ze swoją żoną i córką. W miejscu śmierci potwora wyrosła piękna jabłoń, która rodziła pyszne owoce. Jabłko stało się symbolem miasta Tarczyn.

**Godło – „Pszczola”**  
**Oliwia Kutra, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Iwona Gosek**

## **Legenda o Tarczynie**

Dawno temu, bo w XIII w. niedaleko Warszawy znajdowała się maleńka osada leżąca nad niewielką rzeczką zwaną dziś Tarczynką. Pewnego dnia jeden z członków starszyny wybierającej nazwę dla tej osady, pan Edmund wybrał się około godziny dziewiątej na znane w okolicy targowisko. Zapomniał jednak, że na godzinę dziewiątą trzydzieści zostało zwołane kolejne spotkanie starszyny. Zorientował się dopiero, gdy słońce było już wysoko na niebie. W tym samym czasie reszta rady głowiła się jaką nazwę nadać osadzie. Jeden z członków zaproponował:

- A może Władysławsk, nazwa ta wpadła mi do głowy, gdyż Gabriel Prowancjusz, zwany Władysławskim był wielkim dobroczyńcą dla naszego małego miasteczka.

Na co drugi odpowiedział:

- Lepiej byłoby nazwać tę osadę Szlak, ponieważ znajduje się ona na skrzyżowaniu szlaków handlowych wiodących z Radomia do Warszawy.

Padło również wiele innych propozycji. A gdy kolejny członek zabrał głos i zaczął mówić:

- Ja jednak nazwałbym... do pomieszczenia wpadł niczym pocisk pan Edmund i powiedział:

- Bardzo przepraszam za swoje wielkie spóźnienie, ale wybrałem się na targ i zupełnie zapomniałem o naszym spotkaniu.

Gdy pan Edmund skończył mówić, wstał przewodniczący starszyny i zaczął bić brawo. Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni, a wtedy on powiedział:

- Pan Edmund podsunął mi świetny pomysł! Nazwijmy naszą osadę Tarczyn! Czy wszyscy się zgadzają?

- Tak zgadzamy się!

A przewodniczący dodał:

- Świetnie, w takim razie panie Edmundzie proszę, aby to pan wypełnił właśnie teraz dokument dotyczący nazwy naszej miejscowości, a ja jutro osobiście zawiozę go do księcia Kazimierza, właściciela naszych ziem.

Dumny pan Edmund zaczął wypełniać dokument. Nagle krzyknął:

- O nie zamiast Targczyn napisałem Tarczyn!

Na co przewodniczący powiedział:

- Nic złego się nie stało. Według mnie, ta nazwa jeszcze bardziej wpada w ucho.

I tak oto powstała nazwa naszej miejscowości, która przez tyle lat się nie zmieniła.

**Godło – „Szafir”**  
**Martyna Głównyńska, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Iwona Gosek**

## **Legenda o powstaniu wsi Marianka**

Dawno, dawno temu w Krakowie mieszkał zamożny burmistrz o imieniu Jan. Życie jego nie było szczęśliwe. Jako młody chłopiec stracił rodziców, a obecnie nie miał żony ani dzieci. Był bardzo zamożny, więc mógł pozwolić sobie na liczne podróże. Pewnego dnia postanowił wybrać się do Tarczyna. Czekala go długa droga.

Po kilkunastogodzinnej jeździe dotarł na miejsce. Miasteczko było nieduże, dlatego mógł w spokoju posłuchać śpiewu ptaków oraz poodychać świeżym powietrzem. Z tego powodu wybrał się na długi relaksujący spacer i oddalił się od Tarczyna. W miejscu, do którego dotarł były tylko opuszczone chatki. Nagle jego oczom ukazała się przepiękna postać. Była to długowłosa blondynka o śniadej cerze i niebieskich oczach. Ubrana była w błękitną sukienkę. Jan zakochał się w nieznajomej od pierwszego wejrzenia. Chcąc nawiązać z nią rozmowę, zapytał ją jak dojść do Tarczyna. Kobieta nie wiedziała jak tam dotrzeć, dlatego mu nie pomogła. Jan chciał zostać z niebieskooką, więc zapytał ją, jak ma imię. Odpowiedziała mu cichym głosem, że Marianka. Jan zaproponował jej spacer, na który dziewczynka się zgodziła. Rozmawiali ze sobą i śmiali się. Bardzo dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Janowi spodobał się także charakter Marianki. Idąc zaproponował Marianne, żeby przenocowała w zajeździe, w którym się on zatrzymał. Obiecał oczywiście pokryć wszelkie koszty. Panna zgodziła się bez wahania, bo była sierotą i nie miała swojego domu, więc błąkała się od domu do domu, pracując za przysłowiową kromkę chleba i nocleg...

Mężczyzna przyjechał do Tarczyna na miesiąc. Cały ten czas spędził z poznaną panną, która odwzajemniała jego uczucie. W końcu Jan zamieszkał w Tarczynie i wkrótce został burmistrzem miasteczka. Ożenił się z piękną Marianką, a miejsce w którym się poznali nazwał imieniem swojej ukochanej żony. Wkrótce zaczęli się na nim osiedlać ludzie i tak powstała wieś do dziś zwana Marianką.

**Godło – „Wiewiórka”**  
**Oliwia Siekiera, PSP Tarczyn**  
**– opiekun Aleksandra Wójcik**

## **Legenda o Tarczynie**

Dawno, dawno temu grupa ludzi przemierzała mazowiecką puszcę w celu znalezienia miejsca do osiedlenia się. Długo wędrowali przez piękną puszcę, a gdzie okiem sięgnąć rozciągały się bory sosnowe, wydmy i bagna.

Pewnego dnia dotarli nad małą, krętą rzeczkę i postanowili, że tam przenocują. Okazało się, że w okolicach tego oto miejsca jest wiele żyznej gleby, którą można wykorzystać pod uprawę. Na mniej urodzajnych terenach wybudowali swoją osadę. Mijały lata, a ludziom żyło się tu bardzo dobrze. Z czasem ich osada przekształciła się w miasteczko. W 1353 roku nadano mu prawa miejskie. Dogodne położenie tego miejsca na skrzyżowaniu szlaków handlowych spowodowało, że miasteczko bardzo prężnie się rozwijało. Powstał kościół, szkoła, przytułek dla ubogich, a liczba ludności wzrastała z roku na rok. Jedynym minusem było to, że nie posiadali w okolicy miejsca, gdzie mogliby sprzedawać swoje plony. Wtedy wójt miasteczka wyznaczył koło rzeczki teren handlu zwany targiem. Ludzie chętnie odwiedzali targowisko, gdzie mogli kupić i sprzedawać owoce, warzywa, zboże i stało się to tradycją miasta. Do miasta przybywało coraz więcej kupców i handlarzy. Ludzie coraz więcej terenów przekształcali w pola uprawne. Najbardziej rozpowszechniały się sady pełne jabłoni, a symbolem miasteczka stało się jabłko.

Po kilkunastu latach osiedlania na tych terenach, miastu nadano nazwę Tarczyn, a rzeczka została nazwana Tarczynką. Swoje pochodzenie zawdzięczają targowisku, od którego wszystko się zaczęło. Po dzień dzisiejszy targowisko w mieście Tarczyn znajduje się obok rzeki Tarczynki.



# **Gimnazjum**



## **I nagroda**

**Godło – „Stokrotka 123”**

**Maria Kielbus, Gimnazjum w Tarczynie**

**– opiekun Agnieszka Chudzikowska**

### **Legenda o magicznym jabłku i drewnianej tarczy**

Dano, dawno temu, gdy to licznie można było spotkać po lasach zwiewne oraz pełne wdzięku nimfy leśne, ogromne i przerażające swym wyglądem smoki, chochlikowe skrzaty, jednorożce z rogiem o magicznych właściwościach i szkaradne wiedźmy z licznymi brodawkami, cieszył się swym długim żywotem, ale podupadający na zdrowiu król. Władał on rozległym kamiennym grodem, otoczonym magicznym gęstym lasem, w którym nie jeden śmiałek niechybną poległ śmiercią za sprawą magicznych stworzeń.

Mimo to ciężko byłoby znaleźć w tej osadzie męża lub niewiastę, której bieda i smutek miałyby czelność pukać do drzwi. Wszyscy bowiem żyli ze sobą w szczerzej zgodzie, przyjaźni i harmonii; kobiety gospodarowały w chatach pełnych przepychu jak na tamte czasy, mężczyźni pracowali na żyznych polach, starcy zadziwiali swymi opowieściami niejednego słuchacza, dzieci bawiły się na dworze w chowanego, a te starsze pomagały w ciężkiej pracy rodzicom.

Król miał piękną, złotowłosą córkę, którą kochał ponad wszystko. Zaprawdę nikt w całym kraju nie obdarzał tak mocnym uczuciem swego dziecięcia, jak ten poczciwy władca.

Pewnego ciepłego, mglistego dnia, a było to jesienią, dziewczyna zapragnęła opuścić duszne ściany wiekowego zamczyska i poznać z bliska życie poddanych jej ojca. Przyodziła ciemną pelerynę ze skór niedźwiedzich i opuściła potajemnie zamek ukrytym przejściem. Bez większego trudu udało jej się wyjść niezauważoną z jej bogato zdobionej, złotej komnaty. Spacerowała między różnorodnymi stoiskami na targu. Widziała kolorowe materiały na suknie, ręcznie zdobione gliniane miski oraz garnki, biżuterię robioną z suszonych owoców i kamyków. Wszystko to powodowało w niej westchnienia zachwytu. Nigdy przedtem nie czuła takiego szczęścia jak tamtego, pamiętnego dnia jesiennego.

Po pewnym czasie jednak wszystko to zaczęło ją nudzić. Targ wydał jej się monotony, nieciekawym, wręcz banalnie powtarzalnym. Nie chciała, co prawda jeszcze wracać do zamku głównie dlatego, że obawiała się straszliwego gniewu ojca. I pewnie, gdyby nie nagły błysk dochodzący z ciemnej głuszy lasu, nie stałoby się nic, co miało się stać.

Niewiedza królewskiej córki zawiodła ją do ciemnego lasu. Każdy, bowiem poza nią wiedział, że kto raz wejdzie do ciemnej puszczy, ten musi już tam pozostać. Na szczęście złotowłosej zauważył ją pewien młodzieniec, który od razu się w niej zakochał i nie mógł oderwać wzroku od nieznanym. Bez większego zastanowienia wkroczył za nią do lasu, trzymając w ręku jedynie drewnianą tarczę.

Puszcza była ciemna i zimna. Światło dzienne nie przenikało liściastych koron drzew, więc dzielny śmiałek błądził na oślep w ciemnościach szybko tracąc z oczu obiekt swoich westchnień. Z każdym krokiem było mu coraz ciężiej iść. Robił się głodny i zmęczony. Rezygnacja i wiara w odnalezienie pięknej nieznanym malowała z każdą sekundą. Zaczął również wątpić w bezpieczny powrót do domu, tak ciemny był ten bór. Wyczerpany żmudną wędrówką usiadł pod jednym z drzew i zapadł w głęboki sen ze zmęczenia, aż zbudziło go jasne światło pochodzące od leśnej boginki. Przyodziana była w długą szatę uszytą z mchu i kwiatów o odcieniu tęczy. Uśmiechnęła się lekko do młodzieńca i podała mu kamienną misę napełnioną pszczelim miodem oraz talerz dziko rosnących, leśnych owoców.

Po sytym posiłku chłopak odzyskał siły i z pomocą kobiety odnalazł królowną, która stała na środku leśnej polany razem z małym chochlikiem. Skrzat w wyciągniętej do niej ręce trzymał soczystą, białą gruszkę, z której ciekł sok. Młodzieniec od razu domyślił się, że jest ona zatruta i jeśli jego ukochana ją zje, zginie niechybną śmiercią. W ostatniej chwili wytrącił mu z ręki owoc i przegonił złośliwe stworzenie. Omamiona czarami dziewczyna wyrwała się z transu i z wdzięczności rzuciła się na szyję wybawcy, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia.

Gdy już razem mieli opuścić polanę, nagle zza drzewa wyszła boginka lasu, ta sama, która pomogła młodzieńcowi w odnalezieniu królowny. Gestem dłoni wskazała na trujący owoc leżący na polanie i kazała go przynieść. Królewska córka posłusznie spełniła polecenie i podała gruszkę dobrodziejce. Ta użyła swojej magii i zamieniła ją w jędrne, czerwone niczym maki kwitnące na łące jabłko, które

podarowała zakochanym i ostrzegła, że nie opuszczą lasu dopóki nie pokonają złej wiedźmy. To ona bowiem zaczarowała puszcę tak, by nikt nie mógł jej już nigdy opuścić.

Mieszkała w samym środku boru, więc parę zakochanych czekała bardzo długa przeprawa. Na szczęście pomogły im jednorożce, które na swoich grzbietach zawiozły ich do celu wyprawy. Jeden z nich oddał nawet młodzieńcowi swój róg, by ten miał czym walczyć ze złą czarownicą.

Walka była długa i trudna. Wiedźma wysyłała w stronę swojego przeciwnika błyskawice, które ten z trudem blokował tarczą. Królowa oglądała rozgrywającą się walkę z niepokojem. Wyraźnie było widać, że to miłość jej życia jest na przegranej pozycji. Pole bitwy zamieniło się w wielką masę ziemi i gruzu. Wszystkie drzewa, które przed chwilą jeszcze tam rosły zostały wyrwane przez silny wiatr, będący na usługach złej czarownicy. W pewnym momencie podmuch był tak silny, że chłopiec stracił równowagę i upadł. Demoniczna istota wykorzystała tę chwilę i posłała w jego stronę śmiertelny grom. Młodzieniec zanim umarł, zdążył jeszcze ostatnim przyływem sił rzucić w nie spodziewającą się odwetu wiedźmę róg jednorożca, który trafił ją prosto w ciemne, żądne krwi serce.

Nagle wszystko ucichło. Zła czarownica została pokonana, dobro znów przewyższyło zło. Jednak dla Złotowłosej dziewczyny nic to nie znaczyło. Przed chwilą była świadkiem śmierci swojego ukochanego. Rzewne łzy spływające po jej twarzy raz za razem obmywały spokojną twarz młodzieńca, pogrążonego w najgłębszym ze wszystkich snów. Drewniana tarcza leżała u jego stóp. Zrozpaczona królowa w przyływie nieutulonego żalu przypominała sobie o czerwonym jabłku podarowanym od leśnej kobiety. Na pobliskim kamieniu rozniośta je, a zebrany w dłoni sok wlała do ust martwemu kochankowi. Ten jak za dotknięciem magicznej różdżki powrócił do świata żywych.

Wszystko szczęśliwie się skończyło. Młodzi wrócili bezpiecznie do zamku, gdzie wkrótce odbył się ich ślub. Po śmierci starego króla przez długie lata władali grodem. Mówi się, że były to najlepsze czasy zarówno dla mieszkańców, jak i magicznych istot z lasu. Na cześć drewnianej tarczy, której młodzieniec użył w walce z wiedźmą, osadę nazwano Tarczyn, a czerwone jabłko stało się symbolem nowego miasta założonego przez kochanków.

## **II nagroda**

**Godło – „Rycerz”**

**Marcin Gajda, Gimnazjum w Pamiętce**

**– opiekun Justyna Kołacińska**

### **Legenda o Kawęczynie**

Dawno temu do wsi położonej niedaleko Tarczyna przybył pewien kupiec o imieniu Marek. Był bardzo bogaty. Swoje dochody zawdzięczał kawie sprowadzanej z Etiopii. Była ona wtedy mało popularna, lecz szybko zdobyła nowych wielbicieli.

Pewnego dnia Marek wybrał się do pobliskiej osady Tarczyn na targ. Słyszał, że tutejsze jabłka są jedyne w swoim rodzaju i chciał ich spróbować. Wracając z owocami do swego domu, spotkał biednego wędrowca, którego zaprosił na posiłek. Podczas jedzenia gość zaczął opowiadać interesującą historię o tajemniczym skarbie znajdującym się w grocie pod tarczyńskim kościołem. Mówił, że wejście do niej znajduje się w pobliskiej puszczy. Broni go groźny strażnik. Chcąc zdobyć ten skarb, należy wykonać kilka zadań. Na koniec rozmowy starzec, aby potwierdzić swoje słowa, podarował kupcowi mapę. Gdy wędrowiec chciał odejść, Marek zaproponował nocleg. Przybysz zgodził się i poszli spać. Nazajutrz kupiec spostrzegł, że nie ma biedaka, lecz mapa została. Pomyślał więc, że pójdzie odnaleźć skarb.

Po kilku dniach poszukiwań, gdy już opuszczała go nadzieja spostrzegł, jakieś podziemne wejście. Wszedł tam i nagle ujrzał strażnika. Bardzo się przestraszył, gdyż był on wysoki i ubrany w żelazną zbroję. Nagle odezwał się i powiedział: „Jeśli chcesz zdobyć skarb, musisz wykonać trzy pewne zadania”. Po chwili wymówił pierwsze z nich: „Masz tu nasiona, wyhoduj z ich sto jabłoni i posadź wokół swojej miejscowości”. Strażnik nakazał też, aby je pielęgnował i nigdy ich nie ścinał, gdyż w przeciwnym razie miejscową ludność spotka kara. Nasiona szybko kiełkowały i drzewka po kilku tygodniach były gotowe do wysadzenia. Wyrosły na nich piękne, dorodne jabłka. Kupiec był bardzo zadowolony, ponieważ widział w tym dodatkowy dochód. Wrócił do groty i poprosił o drugie zadanie.

Miał teraz rozwieść kawę na dwory książęce w Warszawie i okolicy. Marek poszedł, więc szybko, załadował część kawy na powozy i wyruszył w podróż. Wrócił po tygodniu i od razu udał się do groty. Poprosił wtedy o ostatnie zadanie.

Strażnik nakazał rozdać mu wszystkie pieniądze, które posiadał. Kupiec nie chciał tego zrobić, lecz obrońca skarbu zapewniał go, że to, co otrzyma, będzie o wiele więcej warte niż jego obecne bogactwo. Marek poszedł więc i rozdał cały swój majątek. Zostało mu tylko trochę kawy. Ludzie byli mu bardzo wdzięczni za to, co uczynił. Darzyli go wielkim szacunkiem. Zaczęli się zwracać do niego życzliwie i we wszystkim mu pomagać. Pielęgnowali jego sad i dbali o jego posiadłość.

Po kilku dniach kupiec znów poszedł do strażnika i powiedział, że zrobi wszystko, jak ten mu nakazał. Obrońca skarbu wpuścił go wtedy do wielkiej sali, w której była ogromna skrzynia. Podeszedł do niej i otworzył ją. Okazało się, że jest tam tylko list, w którym zostało zapisane: „Zdobyłeś największy skarb - życzliwość i przyjaźń”. Kupiec wpadł w ogromną złość. Wybiegł szybko z jaskini. Zaczął wszystko niszczyć i ścinał jabłonie, które zasadził, a potem padł martwy z wycieńczenia. Wtedy to spełniły się słowa strażnika grotty. Wieś, w której mieszkał kupiec nawiedzały straszliwe mrozy, brakowało opału. Choć wokół było dużo jabłoni, ludzie nie chcieli ich niszczyć. Było to bowiem ich jedyne źródło dochodów. Mieszkańcy wsi zaczęli kupować drewno, którym mogli ogrzać swoje chałupy. Po pewnym czasie zaczęło im brakować pieniędzy, a mrozy nadal narastały. Poszli więc i zabrali to, co zostało po kupcu, czyli kawę. Kupili za nią drewno na opał i ciepłe ubrania. Wszyscy martwili się i zastanawiali, czy kiedyś skończą się ich straszliwe męki. Co gorsza zaczynało brakować pożywienia, a ludziom żyło się coraz gorzej.

Trwało to wszystko wiele tygodni i kiedy wszyscy już tracili nadzieję, niespodziewanie pojawiło się tak długo oczekiwane ciepło. Ludzie z radości wyszli ze swych chat. Na pamiątkę wcześniejszych wydarzeń wsi, w której mieszkał kupiec nadano nazwę Kawęczyn z połączenia słów „kawa”, dzięki której ludzie przetrwali niskie temperatury i „czyn”. Mieli tu na myśli ścięcie drzew, za które to na wieś spadła kara. Od tego czasu, gdy mieszkańcy zapomną tę historię i zgrzeszą, wieś nachodzą krótkotrwałe niespodziewane mrozy, które pustoszą sady i niszczą większość plonów.

### **III nagroda**

**Godło – „Kuloodporny”**

**Agata Stępniewska, Gimnazjum w Pamiętku**

**– opiekun Justyna Kołacińska**

### **Magiczna noc**

Dawno, dawno temu niedaleko drogi wiodącej z północy na południe prowadzącej do małej mazowieckiej osady, obecnie zwanej Tarczynem, leżał głaz. Nikt nie widział w nim nic specjalnego, lecz naprawdę nie był on taki zwyczajny. Albowiem raz na dziesięć lat, gdy o północy na niebie pojawiały się dwa księżycy, wokół kamienia zbierały się czarownice z całego kraju. Nakładały zaklęcia, które miały chronić miasteczko. W ten sposób spłacały dług zaciągnięty u pierwszego mieszkańca osady – kmiecia Tarczy, który dawno temu uratował Królową Wiedźm od zguby. Dzięki temu przez wieki miasteczko, pod specjalną ochroną wiedźm, rozwijało się, kwitło a mieszkańcom żyło się dobrze.

Pewnego razu jednak ktoś przeszkodził czarownicom. Była to mała dziewczynka, która zobaczyła światło przez okienko w swoim pokoiku. Pobiegła w jego stronę. Przestraszyła czarodziejki, a te zniknęły nie dokończywszy czarów. Przez to osada straciła swoją ochronę. Zapanowała susza, brakowało pożywienia a mieszkańcy nie rozumieli, co się dzieje. Wśród nich była także winna dziewczyna, która nie pamiętała tamtej nocy. Na Tarczyn spadły kolejne klęski. Przyszła epidemia strasznej choroby, ogromny pożar a u wrót miasta ciągle pojawiały się wrogie oddziały, które pustoszyły domostwa. Pewnego dnia za udział w powstaniu narodowym Tarczynowi odebrano nawet prawo do tego by nazywać się miastem.

Nikt nie wiedział, że tego samego roku ma się odbyć kolejny zlot czarownic przy głazie. Gdy nadeszła magiczna noc, czarodziejki przybyły do domu dziewczyny. Przypomniały jej wydarzenia sprzed lat. Okazało się, że bez niej nie przywrócą bezpieczeństwa miastu. Młoda kobieta poszła więc z czarodziejkami do kamienia. Wszystkie stanęły w kręgu i mówiły zaklęcia. Tym sposobem bohaterka stała się jedną z nich i przyjęła imię Klara. Od tamtej pory stała się także opiekunką miasta. Udało jej się przywrócić miastu ochronę. Znow zaczęło się

rozwijać a nawet odzyskało prawa miejskie. Mówi się, że do tej pory można zobaczyć Klarę lecącą na miotle nocą nad miastem. Podobno jeśli tylko Tarczynowi będzie groziło jakieś niebezpieczeństwo, czarodziejka pojawi się, by pomóc miejscowej ludności. To rodzaj jej rekompensaty za tamtą feralną noc, gdy jako mała dziewczynka przerwała czary.

## **Wyróżnienie**

**Godło – „Deszcz”**

**Natalia Olczak, Gimnazjum w Tarczynie**

**– opiekun Agnieszka Chudzikowska**

### **Dwie siostry**

Dawno temu, w czasach kiedy w Polsce władzę piastowali królowie, a dzielni rycerze ratowali księżniczki w opałach, na Mazowszu niedaleko Tarczyna znajdowała się pewna wieś. Ze wszystkich stron otoczona była gęstym lasem, skrywającym różne niebezpieczeństwa. Mimo to mieszkańcy żyli tam spokojnie i beztrudnie. Wszystko toczyło się bez pośpiechu, a wśród bogatych osób panowała zasada: „czego nie zdązysz zrobić dziś zrób jutro”. Takie życie w szczególności doceniały leciwe osoby zamieszkujące wieś, ponieważ lata młodościowych szaleństw, m.in. ślubowanie damie serca, turnieje rycerskie i uczty miały już dawno za sobą i wizja ciągłego odpoczynku bardzo im odpowiadała. Z poglądem starszych nie zgadzały się jednak ruchliwe i charyzmatyczne dzieci. Nieustająca bezczynność łatwo je nudziła, dlatego wymyślały różne gry i zabawy, wypełniające ich czas. Młodzi chłopcy, synowie kupców i rzemieślników najchętniej udawali rycerzy w lśniących zbrojach. Całymi dniami walczyli patykami, które uznawali za swoje miecze. Dziewczynki z kolei stroiły się w piękne suknie i niczym damy dworu, wysoko urodzone księżniczki, tańczyły wokół rynku. Czasami zdarzały się również wspólne zabawy, w których to mężczyźni i dzielni rycerze ratowali piękne, pełne wdzięku i powabu księżniczki. Wśród bawiących się dzieci były także dwie tajemnicze i wyróżniające się siostry. Zazwyczaj nie uczestniczyły w swawolach, ale przesiadywały w kościele i słuchały nauk księdza Jakuba. Pochodziły z mało zamożnej rodziny, dlatego nie miały możliwości pobierania nauk. Ich rodzice bardzo starali się, by dziewczynkom żyło się jak najlepiej. Dostrzegali oni ogromny talent swoich pociech oraz spostrzegawczość otrzymaną od dobrego Boga. Jednak nie byli w stanie zapewnić córkom odpowiedniego wykształcenia, dlatego życzliwy duchowny Jakub zobowiązał się pomóc rodzinie i postanowił udzielić siostronom lekcji. To dzięki niemu dziewczynki nauczyły się pisać

i czytać, a w ówczesnej Polsce umiejętności te posiadali tylko nieliczni. Maria, starsza od swojej siostry o 3 lata, dodatkowo uczyła się śpiewać. Była jeszcze młoda, jednak jak na swój wiek nadto dojrzała i urodziwa. Jej porcelanowa cera idealnie współgrała z łagodnymi, malującymi się na policzkach rumieńcami. Długie ciemnobrązowe włosy delikatnie układały się na ramionach, a modre oczęta z ufnością spoglądały na rozmówców. Nosek miała lekko zadarty, a mocno czerwone usta w chwilach gniewu lub głębokiego skupienia układały się w wąską linię. Dziewczyna była wysokiego wzrostu i miała szczupłą sylwetkę. Zazwyczaj nosiła błękitną sukienkę i kubraczek, a na nogach trzewiczki. Młodsza siostra dziewczyny, Anka znacznie różniła się od niej wyglądem. Miała śniadą twarzyczkę, upstrzoną brązowymi piegami. Kręcone i czarne niczym smoła włosy związywała zazwyczaj w luźny warkocz. Piwne oczy pełne były dziecinnej niewinności, a usta posiadały malinowy odcień. Anka podobnie jak siostra, ubierała się w sukienki (jednak nie błękitnego lecz zielonego koloru), kubraczek i trzewiczki. Obie dziewczynki były ciekawe świata, lubiły dowiadywać się nowych rzeczy i z łatwością rozwiązywały problemy. Marzyły o wielkich przygodach, ale dobrze wiedziały, że nie znajdą ich w swojej spokojnej wiosce, gdzie każdy dzień wyglądał tak samo. Ale to miało się niedługo zmienić.

Pewnego letniego wieczoru, krzycząc w niebogłosość, przez bramę do wsi wbiegł przejeżdżający pobliskim szlakiem kupiec.

- Pomocy, pomocy! – krzyczał. – Okradziono nas.

Mężczyzna dotarł do sołtysa – Zygmunta i opowiedział mu o swoich przygodach. Nie mógł udzielić jednak szczegółowych informacji, ponieważ nie pamiętał nic z ostatnich piętnastu godzin. Rzekł jedynie, że gdy wraz ze swoim przyjacielem po fachu obudzili się rano, żadnego z ich towarów już nie było. Wiadomość o rabusiach rychło rozpowszechniła się wśród mieszkańców wsi i jej okolicach. Niektórzy nie byli przekonani co do jej prawdziwości, jednakże zdecydowana większość uwierzyła w opisywane wydarzenia. Odczuwano lęk przed tym co nastąpi, jeżeli napad się powtórzy. Zygmunt, aby uspokoić wystraszonych mieszkańców, zapewniał, że incydent ten był jednorazowy. Osobiście uważał również, że to nie jego sprawa, ponieważ szlak, na którym doszło do przestępstwa nie należał do miejscowości, a jedynie przebiegał obok. Nie interesował się dobrem ogółu, ani bezpieczeństwem przejeżdżających, a zależało mu wyłącznie na stanowisku

i pieniądzech. Nie zamierzał podjąć żadnych kroków w tej sprawie, jednak po ciągłym nacisku mieszkańców, przyzwyczajonych do spokoju i obawiających się jego utraty, zgodził się wysłać kilku szlachciców, aby przeczesał teren i pilnowali porządku wokół wsi. Działania te nie przyniosły jednak żadnego efektu, a w ciągu kolejnych dwóch miesięcy doszło do jeszcze czterech napaści, których sprawcy wciąż pozostawali anonimowi. Mieszkańcy chodzili teraz spięci i przygnębieni, a dzieci zaprzestały swych zabaw. Za niepowodzenie w schwytaniu złodziei obwiniano władze miasta, które niewystarczająco zaangażowały się w sprawę. Pomimo publicznego niezadowolenia sołtys wciąż nie wymyślił nowego skuteczniejszego planu schwytania przestępców. Kiedy morale wsi ciągle spadało, do miejscowości na białym rumaku przybył posłaniec króla. Wszyscy z zaciekawieniem przyglądali się zarówno wierzchowcowi jak i jego jeźdźcy. Ten jednak, przyzwyczajony do wścibskich spojrzeń, zignorował to. Zapytał jedynie, gdzie może znaleźć sołtysa, po czym udał się do niego i rzekł:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

- Na wieki wieków Amen.

- Przybywam tu w imieniu wielmożnego króla, który dzięki swej wspaniałomyślności chciałby rozwinąć gospodarkę Polski i wzbogacić nasz piękny kraj. W tym celu Jego Wysokość postanowił rozbudować przebiegający w pobliżu szlak handlowy. Jednak, aby tego dokonać tutejsze tereny będą musiały zostać dokładnie sprawdzone. Robotnicy muszą znać wszystkie dane, dlatego za dwa tygodnie przyjedzie tu namiestnik królewski, który określi, jak będzie przebiegała budowa. Król postanowił, że zatrzyma się on właśnie w tej wiosce. Wszystkie istotne informacje zostały zawarte w tym piśmie, które napisał nasz dobrotliwy władca i które przekazuję tobie do rąk własnych.

Po tych słowach poseł przyklęknął i wyciągnął w stronę Zygmunta ręce, w których trzymał zwinięty pergamin ozdobiony królewską pieczęcią. Ten przeczytał wiadomość kilka razy, następnie sięgnął po pióro i wystosował krótką odpowiedź, po czym oddał ją posłowi i rzekł:

- Przekaż naszemu miłościwemu królowi, że spotkał nas ogromny zaszczyt, za co jesteśmy bardzo wdzięczni i że w uniżeniu przyjmujemy wysłannika w naszych skromnych progach. Jedź z Bogiem.

Rycerz ostatni raz skłonił się nisko i wrócił do swojego konia, gdzie czekało na niego kilku szlachciców, którzy zaprowadzili go na ucztę,

aby nie musiał wracać głodny. Po noclegu w gospodzie i zregenerowaniu sił poseł wyjechał zdać raport królowi.

Nowa sytuacja zmusiła władze wsi do zagłębienia się w problem napadów oraz ściślejszego egzekwowania ustalonych wcześniej zabezpieczeń, mających chronić przejeżdżających wędrowców. Nie można było dopuścić do tego, by królewski namiestnik stał się ofiarą nieuchwytnych złodziei. Z tego powodu zgromadzono szlachtę i duchowieństwo z pobliskiego terenu, aby to oni uzgodnili, jakie następne kroki należy wykonać. Negocjacje przeradzające się często w kłótnie i drobne pojedynki trwały tydzień, zanim definitywnie podjęto decyzję. Następnego dnia rozpoczęto przygotowania do urzeczywistnienia planu, który miał polegać na zorganizowaniu nieprawdziwego orszaku i ogłoszeniu, że należy on do namiestnika, który zdecydował się przyjechać wcześniej. Aby orszak wyglądał jak najbardziej realistycznie zebrano od wszystkich mieszkańców, którzy chcieli pomóc w schwytaniu rabusiów po jednym drogocennym przedmiocie lub stroju magnackim. Nie mniej jednak nie wszyscy byli chętni do współpracy, a niektórzy uważali, że to głupi i do tego bardzo ryzykowny pomysł. Mimo to nikt nie chciał narazić się na drwiny sąsiadów, dlatego osoby nieskore do wsparcia akcji łatwo można było przekonać. Dodatkowo starano się rozgłosić wieść o przyjeździe owego najemnika, aby wiadomość dotarła również do przestępców. W ten sposób po niespełna czterech dniach można było przystąpić do działania.

Wszyscy uczestnicy byli bardzo podekscytowani możliwością złapania rabusiów. Początkowo każdy rozglądał się na różne strony i wypatrywał w gąszczach choć najmniejszego ruchu. Nikt nic nie mówił, droga mijała w zupełnym skupieniu. Starano się zachować czujność, jednak gdy po trzech godzinach jazdy wciąż nic się nie wydarzyło, uczestnicy rozluźnili się trochę. Niektórzy zaczęli prowadzić ciche rozmowy, które z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. Wieczorem zatrzymali się przy rzece zwanej Tarczynką, skąd można było nabrać czystej wody. Postanowili spędzić tu noc, a następnego dnia wrócić do wsi z niepomyślną wiadomością, że plan się nie powiódł. Ostrożności jednak nigdy za wiele, dlatego postawiono strażników, którzy będą sprawować pieczę nad obozem.

Następnego ranka rozległ się przeraźliwy krzyk:

- Okradli nas, okradli!

Wszyscy w jednej chwili stanęli na równe nogi i zaczęli rozglądać się wokół. Rzeczywiście wszystkie kosztowności zniknęły. Ale co się stało? Nikt nie mógł sobie przypomnieć wydarzeń rozgrywających się od początku podróży. W nieznanym nikomu sposób przestępcy znowu przechytrzyli mieszkańców wsi.

Gdy orszak wrócił bez drogocennych przedmiotów należących do dobrowolnych dawców, zaczęły się szemrania i oskarżenia. Wszyscy unikali uczestników nieudanego planu i okazywali im niechęć, gdy tylko nadarzyła się okazja. Natomiast władze, w tym sołtys, pogodziły się z faktem, że nie uda im się złapać łotrów i mieli nadzieję, że namiestnik królewski nie wpadnie w ich sidła. Tylko dwie siostry nie mogły tego zaakceptować i uważały, że nie należy się poddawać. Napady rabusiów były najciekawszą rzeczą jaka działa się tu w przeciągu kilkudziesięciu lat. Maria i Anka twierdziły, że jest to właśnie ta wielka przygoda, o którą tak żarliwie modliły się do Boga. Śledziły one poczynania złodziei od początku i przepytowały każdego kogo okradli. Dziewczyny były bardzo uparte, dlatego postanowiły samodzielnie sprawdzić trasę, którą poruszał się orszak. Nie chciały jednak, by ktoś dowiedział się o ich planie, dlatego musiały wykonać go w przeciągu zaledwie kilku godzin i wrócić przed zachodem słońca, by rodzice się nie martwili. Siostry przygotowały koszyczek z jedzeniem i wodą i zaczęły powoli przedzierać się przez las, dokładnie poszukując jakichkolwiek śladów. Były bardzo skrupulatne i skupione, ponieważ nie chciały niczego przeoczyć. Gdy dotarły nad Tarczynkę zauważyły, że słońce jest już niebezpiecznie nisko, co oznaczało, że pora już wracać, choć siostry przyznały to z niechęcią. Czuły niemalże rozczarowanie, że nie udało im się niczego znaleźć. Anka poprosiła jeszcze o chwilę odpoczynku, bo jako, że była młodsza zmęczyła się szybciej niż Maria. Starsza siostra była bardzo opiekuńcza, dlatego zgodziła się przystanąć na kilka minut. Jednocześnie podarowała Ance pajdę chleba, a sama wzięła drugą i zaczęła kierować się w stronę rzeki, by tam usiąść. Nagle jej bystre sokołe oko zauważyło krótkie mignięcie. Dziewczyna podbiegła w miejsce światelka i wśród wysokich traw dostrzegła złotą bransoletkę należącą do pani Małgochny.

- Anka, choć szybko – zawołała Maria. – Już wiem, gdzie doszło do kradzieży.

- Naprawdę? Ale jak? – krzyknęła z pełnymi ustami młodsza z sióstr.

- Spójrz to bransoletka naszej sąsiadki. Oddawała ją kiedy zbierano kosztowności do orszaku.

- Masz rację – przyznała. – Czyli, że to wszystko wydarzyło się tutaj.

- Tak, ale wciąż nie rozumiem jak to możliwe, że wszyscy zasnęli i stracili pamięć.

W tym momencie między siostrami zapadła martwa cisza. Usta Marii ułożyły się w wąską linię, co oznaczało, że gorączkowo nad czymś myślała. Natomiast na twarzy Anki pojawiał się coraz większy uśmiech, aż dziewczynka wybuchła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? – zapytała poirytowana Maria. – To bardzo poważna sprawa.

- Wiem, ale kiedy patrzyłam na rzeczkę przypomniała mi się ta śmieszna historia, którą opowiadał nam ksiądz Jakub. Pamiętasz? Była o dwóch rycerzach, którzy wypili zaczarowaną wodę i zamienili się w kaczkę.

- Woda – powiedziała zamyślona Maria. – Woda! Jesteś cudowna siostrzyczko. To jest rozwiązanie zagadki. Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść. Wszyscy, którzy zostali napadnięci zatrzymali się w tym miejscu i pili wodę z Tarczynki. To ona sprawia, że ludzie zasypiają i tracą pamięć.

Radość Marii z rozwiązania zagadki przerwał rozlegający się z oddali głos:

- Ale jesteś pewien? Przecież orszak, który poprzednio obrabowaliśmy należał do namiestnika.

- Nie. Usłyszałem w gospodzie, że to była tylko zasadzka na nas, ale jak widać nie udana. Jednakże niedługo zatrzyma się tu prawdziwy orszak.

- W takim razie ukryjmy się pod osłoną nocy i poczekajmy, aż wypiją wodę, a później się obłowimy.

Po ostatnim słowie po lesie rozniósł się przerażający śmiech.

Maria pociągnęła Ankę za rękę i wbiegła z nią w pobliskie zarośla znajdujące się po przeciwnej stronie od rozlegających się głosów. Dziewczyny dopiero teraz zauważyły, że słońce już niemal zaszło i że z każdą chwilą robi się coraz ciemniej. Maria rzekła do siostry przyciszonym głosem.

- Posłuchaj mnie uważnie Aniu, ponieważ to co zaraz powiem jest bardzo ważne. Musisz wrócić teraz do wsi, ale proszę cię zrób to jak

najszybciej. Powiedz wszystkim, że udało nam się znaleźć przestępców i że wiesz, gdzie oni są. Przyprawdź tu rycerzy. I pamiętaj: śpiesz się.

- Ale co z tobą? – zapytała przerażona dziewczynka.

- Ja tu zastanę i ostrzegę orszak namiestnika przed wypiciem wody, bo inaczej zasną i zostaną okradzeni.

- Ale ja się boję iść sama.

- Wiem, ale musisz być dzielna jak ci wszyscy bohaterowie w opowieściach księdza Jakuba. Nie zatrzymuj się i nie oglądaj. Po prostu biegnij, aż znajdziesz się w domu. Bądź ostrożna. Kocham cię siostrzyczko.

- Ja ciebie też. – powiedziała Anka i pobiegła ile sił w nogach.

Natomiast Maria została i nasłuchiwała orszaku, który po kilku minutach pojawił się na horyzoncie. Dziewczyna wiedziała, że musi dyskretnie wtopić się w tłum, aby rabusie nie zauważyli, że nie przyjechała z namiestnikiem, ale wyskoczyła z krzaków. Nie chciała krzyczeć z daleka, bo mogłaby wystraszyć złodziei, a przecież chodziło o to, by ich złapać. Po pełnym napięcia oczekiwaniu w bezruchu, w końcu nadarzyła się okazja i Marii udało się prześlizgnąć. Dopiero teraz dziewczyna odczuła jak bardzo bołą ją nogi od ciągłego trwania w niewygodnej pozycji. Mimo narastającego bólu udała się w kierunku namiestnika królewskiego. Jednak drogę zasłonił jej jeden z rycerzy ochraniających go.

- A ty, mała dziewczynko, gdzie idziesz? – zapytał z kpina.

- Muszę porozmawiać z namiestnikiem.

Mimo znacznej przewagi siłowej rycerza, dziewczyna wypowiedziała te słowa bardzo poważnie i dobitnie.

- Przykro mi, ale cię nie przepuszczę. Namiestnik ma dużo ważniejsze sprawy niż wysłuchiwanie dziewczynek, które zakradły się do powozu.

- Ale to bardzo ważne. Dzięki temu unikniecie napadu. – zawołała.

Rycerz jednak nie słuchał już Marii, ale złapał ją i wyniósł w kierunku zarośli.

- Jeśli jeszcze raz cię tutaj zobaczę to pożałujesz tego, a teraz zmykaj.

Dziewczyna nie mogła już nic zrobić. Leżała brudna na zimnej ziemi i patrzyła jak ostatni uczestnicy obozu dopijają wodę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że powinna się schować. Próbowała wymyślić też nowy plan, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Spojrzała jeszcze raz w stronę królewskiego wysłannika i zauważyła, że wszyscy zasypiają.

W tym momencie ktoś zaczął zbliżać się do powozów. Z pewnością byli to rabusie. Maria pomyślała, że przegrała, już nic nie da się zrobić, ale w momencie, w którym po policzku spłynęła jej pierwsza łza, na polanę wjechali mieszkańcy wsi na koniach. Rozegrała się walka pomiędzy nimi a złodziejami. Ci drudzy, nieprzygotowani do wojennych starć szybko zostali złapani i skazani na śmierć. Kiedy orszak następnego dnia się obudził, nikt z jego uczestników nic nie pamiętał, ale sołtys opowiedział im całą historię ze szczegółami. Mówił o rabusiach i o dwóch dzielnych siostrach, które przechytrzyły przestępców. Maria natomiast opowiedziała o nieudanej próbie ostrzeżenia go przed magiczną wodą.

Namiestnik zauroczony urodą i zaradnością Marii oświadczył się jej. Zaskoczona, ale uradowana dziewczyna przyjęła oświadczenia i niedługo później wzięli ślub. Od tego czasu jej rodzina nie była już biedna, a siostry mogły nareszcie bez przeszkód zdobywać wiedzę. Po kilku latach urodziło im się czworo dzieci. Dwie dziewczynki, które z mlekiem matki wyssały mądrość i spostrzegawczość oraz dwóch chłopców równie męźnych jak ojciec.

Anka także znalazła swoją miłość, a gdyby tego było mało, wszyscy mieszkańcy wsi uznali dziewczynki za bohaterki. Na ich cześć nadano wsi nazwę pochodzącą od ich imion – Marianka.

**Godło – „Burobrody arcymistrz wiecznej koncentracji”  
Olaf Nowaczyński, Gimnazjum w Pamiątce  
– opiekun Justyna Kolacińska**

### **Legenda tarczyńska**

Dawno temu, nad rzeką Tarczynką była pewna mała osada. Jej mieszkańcy żyli w spokoju i dobrobycie. Posiadali pola uprawne, hodowle zwierząt oraz prowadzili interesy. Mieszkało tu wielu handlarzy, szewców i kowali.

Pewnego dnia ubogi szewc Borzymir poszedł na targowisko zakupić materiały. Od sprzedawcy dowiedział się, że w starej rezydencji pewnego wójta podobno straszy. Wróciwszy z materiałami do domu opowiedział żonie o całym zajściu. Ta powiedziała mu, że to bujdy zmyślone przez kupców, którzy żyją na szlaku. Lecz Borzymir jej nie uwierzył. Nazajutrz popytał ludzi po okolicy, czy coś o tym wiedzą. Dowiedział się od pewnego kowala, że wszędzie w pobliżu rezydencji występują trzęsienia ziemi. Słyszając to, Borzymir zdziwił się. Zastanawiał się skąd na terenie Polski trzęsienie ziemi. Inny ubogi mieszczanin powiedział mu, że ostatnio zauważył tam coś dziwnego. Powiedział Borzymirowi o dziwnej postaci latającej dookoła budynku. Szewc powróciwszy do domu usiadł i pomyślał. Postanowił, że się wybierze do rezydencji.

Następnego dnia zabrał miecz i starą kuszę ojca. Spakował prowiant, niezbędne rzeczy i wyszedł z domu. Było wtedy wcześniej, więc nie pożegnał śpiącej żony. Idąc przez gęsty las, napotkał kupca, który szedł w tym samym kierunku. Po krótkiej rozmowie Borzymir dowiedział się, że sprzedawca zwie się Dobrociech i również podąża do rezydencji. Postanowili więc, że dalszą drogę odbędą razem. Na miejscu ujrzeni budowlę wielką jak góra. Obeszli ją kilka razy, szukając podejrzanych rzeczy. Dobrociech znalazł w stodole dziwną księgę z napisem „Pamiętnik”. Z jej lektury mężczyźni dowiedzieli się, że w domu jest piwnica z tajnym przejściem. Wszedłszy do środka, przeczesali cały dom w poszukiwaniu czegoś w rodzaju dźwigni. Zamiast niej natknęli się na klapę w podłodze. Zeszli na dół z pochodniami i bronią, zostawiwszy prowiant na górze. W odmętach piwnicy znaleźli świece,

więc ją odpalili dla lepszej widoczności. Przewróciła się ona podpalając obręb drogi prowadzącej w stronę ściany. Borzymir i Dobrociech podeszli więc do niej. Szewc pomacał ścianę i natknął się na wystającą cegłę. Powiedział o niej kupcowi, po czym nacisnął ją z powrotem. Płomienie wokół nich zgasty i ściana się rozstała. Ich oczom ukazało się podziemne przejście prowadzące do groty. Przed wejściem do niej postanowili zostać w piwnicy na nocleg. Rozłożyli śpiwory i znieśli na dół prowiant, po czym zasnęli.

Nazajutrz otworzywszy oczy zobaczyli, że przez szczeliny w ścianach jaskini wpada słońce. Nie zapalając więc pochodni weszli do niej. Im głębiej chodzili, tym więcej światła widzieli. W końcu wyszli z tunelu. Znajdowali się teraz nad Tarczynką. U wyjścia z jaskini zobaczyli wielkie ślady łap. Idąc ich tropem, doszli na polanę, nad którą ujrzeni coś wielkiego lecącego tuż nad nimi. Był to wielki, dwugłowy, ziejący ogniem smok o żółtych łuskach. Bestia usiadła obok nich i przez chwilę się im przyglądała. Następnie wrzasnęła na mężczyzn, a oni przerażeni wyjęli broń. Borzymir strzelił potworowi w oko z kuszy. Dobrociech zaś wyjął mały toporek i ugodził nim smoka w kolano. Kulejący i półślepy smok uciekł na zachód i już nigdy go nie widziano. Borzymir zrozumiał, że trzęsienia ziemi następowały po wzbiciu się potwora w powietrze. Po spotkaniu ze smokiem mężczyźni wrócili do osady powiadomić o tym burmistrza, który zapłacił im sowicie.

Szewc wrócił do żony i opowiedział jej o swojej przygodzie. Po kilku latach kobieta urodziła mu zdrowego i silnego syna, który odziedziczył majątek po ojcu.

Smoka ze względu na to, że szewc dowiedział się o nim na targu nazwano Tarczem, a rozrastająca się osada dostała miano miasteczka. Od tamtej pory nosiło nazwę Tarczyn.

**Godło – „Kot”**

**Jacek Smolarek, Gimnazjum w Tarczynie**

**– opiekun Agnieszka Chudzikowska**

## **Jak to z Ziemią Tarczyńską było**

Dawno, dawno temu na Półwyspie Skandynawskim, żył pewien olbrzym o nadludzkim wzroście i sile. Był to zaprawiony w boju, nieustrudzony i mężny, chociaż jednocześnie okrutny wojownik. Toczył on liczne wojny z walecznymi plemionami Wikingów. Przez większość swojego życia utrzymywał się z napadów na ich osady oraz grabienia i rabowania ich ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Przez te wszystkie lata olbrzym ów był uznawany za postrach całej Skandynawii i uosobienie wszystkiego, co złe.

Ludziom skandynawskim nie podobała się jednak tyrania olbrzyma. Postanowili więc siłą wyprzeć go ze swoich ziem. Zmuszony do ucieczki przepłynął wody Bałtyku, przeszedł ziemie jutlandzkie i germańskie i dotarł do terenów, gdzie obecnie leży Polska.

Utrudzony podróżą, głodny i spragniony, zauważył wijącą się wstęgę niedużej rzeczki. Pochylił się nad nią i wypił całą wodę. Miejsce to zaczęto od tej pory nazywać Suchostrugą. Następnie zmęczony usnął w cieniu rozłożystego dębu. Obudziwszy się nad ranem stwierdził, że dalej odczuwa pragnienie. Szukając wody, napotkał staw, z którego wszystko wypił. Miejsce to od tej pory zaczęto nazywać Suchodołem. Następnie olbrzym ponownie udał się na spoczynek, spał, a gdy się budził zbierał owoce leśne. Jednak wrodzona agresja ponownie się w nim odezwała, gdy szedł na zachód od Suchodołu. Nie mógł znaleźć wody, a niemal co krok, idąc w ujęciu leśnym, napotykał lub nadeptywał na jeże. Miejsce, w którym najczęściej ranił swoje nogi, później nazwano Jeżewicami. Olbrzym odkrył jezioro. Postanowił więc ugasić swoje wciąż nieustające pragnienie i przemyć rany po nakłuciach jeża. Zbliżając się do niego, skakał z radości. Uważał bowiem, że wody w jeziorze starczy mu na długi czas. Jednak wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Otóż, gdy olbrzym skakał z radości, która przepełniała jego serce, potknął się o wystający korzeń pobliskiego drzewa i wpadł do wody, wychlapując ją poza jezioro. Wychlapana woda wypełniła

okoliczne doły, tworząc w ten sposób jeziora. Miejsce, gdzie nowo powstałe zbiorniki wody się znajdowały, zaczęto nazywać Jeziorzanami.

Olbrzym przeszedł ze skrajności w skrajność, od radości do smutku. Zrezygnowany, zmęczony i bardzo zły, wyruszył w drogę powrotną na wschód. Przeszedł Suchostrugę, przeszedł Suchodół. Pełen złości na okolicę dzisiejszego Tarczyna, kopnął grudę ziemi, która przeleciała z Suchostrugi aż do miejsca, gdzie obecnie znajduje się tarczyński rynek. Gruda opadła, kilka kilometrów dalej tworząc wzgórze. To na tym właśnie wzgórzu powstały najważniejsze obiekty Tarczyna, a u podnóża tego wzniesienia, w przyszłości miały powstać podmiejskie zabudowania tego miasta.

Polska w tym czasie przyjmowała chrześcijaństwo, a na terenie Wielkopolski działał późniejszy święty Andrzej Świerad, nazywany też Żurawkiem. Jego orszak opuścił dzielny i bardzo wierzący chłopiec, który postanowił nową wiarę głosić na Mazowszu. Idąc w kierunku ziemi mazowieckiej, napotkał w grodzie – dzisiejszej Rawie Mazowieckiej – rycerza Ziemowita, który postanowił chłopca uzbroić w dalszą podróż. Oddał mu własne uzbrojenie, gdyż był coraz starszy, miał córki i nie posiadał syna. Dlatego też nie synowi, lecz innemu młodzieńcowi postanowił podarować swój miecz oraz swoją tarczę. Uzbrojony młodzian, idąc w kierunku Suchostrugi, odmawiał modlitwy i napotkawszy złego olbrzyma pokonał go, rzucając miecz, który utkwiał w olbrzymim sercu. Ostatnim tchnieniem olbrzym postanowił zmieść - zdmuchnąć z powierzchni ziemi dzielnego chłopca, ale nie miał w płucach tak dużo powietrza. Reszką wydechu spowodował zawirowanie pobliskich grudek ziemi, przed którymi dzielny młodzieniec zasłonił się tarczą. Opisane starcie spowodowało u ludzi zamieszkujących okolice dzisiejszego Tarczyna podziw, a zwycięzca pojedynku otrzymał przydomek Bystry.

Bystry jako gorliwy i wierzący chrześcijanin, trafił na tereny wzgórze tarczyńskiego, zakopał pod jego powierzchnią tarczę, ofiarował siebie i okolicę Panu Bogu, a powstająca na wzgórzu i w jego okolicach osada od wspomnianej tarczy przybrała nazwę Tarczyn. W przyszłości miejsce, w którym Bystry pokonał olbrzyma, zaczęto nazywać Bystrzanowem.

Początkowo zaczęto w Tarczynie uprawiać rzemiosło zbrojne np. płatnerstwo, kowalstwo i ciesielstwo. Z czasem powstały kramy kupieckie i jatki mięsne. Pamięć po Byстрыm spowodowała, że Tarczynom

zainteresowali się misjonarze i biskupi. To oni powierzyli wspomniane obszary Tarczyna i okolic Bożej Opatrzności, a zakonnicy postanowili prowadzić misję niesienia chrześcijaństwa następnym pokoleniom. Biskupi wiedzieli, że w mieście głównym, Tarczynie, powstanie urząd miejski. Zdawali sobie sprawę, że gród Piastowski leży na skrzyżowaniu szlaków Warszawa – Kraków i Czersk – Łowicz. To spowodowało, że w Tarczynie osiedlili się kupcy. Społeczna warstwa kupiecka spowodowała, że wybudowano kościół Św. Mikołaja – patrona biednych, kupców i rzemieślników.

W samym Tarczynie na placu rynkowym, znajdował się cmentarz. Obecna nekropolia powstała na przełomie XVIII i XIX w. i ulokowano ją za murami miejskimi. Z powodu rozwoju instytucji rzemieślniczych Tarczyn powierzony był opiece św. Mikołaja i św. Doroty.

Dzięki bohaterskiej postawie Bystrego Opatrzność spowodowała, że w Tarczynie i okolicach powstało wiele ujęć wodnych, gruntowych i dzięki temu kryzys niedoboru wody Tarczynowi grozić nie będzie. To dzięki ujęciom wód naturalnych w Tarczynie założono zakłady przetwórstwa owocowego. Może ich powstanie miało związek z dzielną postawą Bystrego? O gorliwości mieszkańców Tarczyna świadczyło nadanie im herbu, na tle którego występuje mitra biskupia otoczona niebieskimi barwami.

# **Osoby dorosłe**



**Wyróżnienie**  
**Godło – „Lapis Lazuli”**  
**Anna Piliszewska (Wieliczka)**

### **Legenda o Tarczynie**

Jest w Tarczynie czar i magia,  
Gdy się kwiatem ziemia kłania  
W czas wiosenny, w czas słoneczny!  
Dziwne rodzą się podania...

Tutaj fruwa Genius Loci  
Tu też mieszkał chłop kudłaty  
Który córkę miał uroczą –  
Ale było to przed laty!

Kiedy? Bardzo, bardzo dawno!  
Tylko starzec to pamięta –  
On mi o tym opowiedział  
A to piękna jest legenda.

Więc... mieszkali oni skromnie  
W małej chatce, obok młyna  
Wiodąc żywot bogobojny.  
Wciąż modliła się dziewczyna:

O łask zdroje i pogodę,  
Która złoci zboża kłosy  
I o zdrowie dla ojczulka,  
I o dobre ludzkie losy...

I tak sobie żyli cicho,  
Szczodłą ziemię uprawiając –  
Każdy jeden dzień i ranek  
Dobrym słowem pozdrawiając.

Aż raz ojciec pięknej panny  
Powalony legł chorobą  
I straszliwa dłoń Kostuchy  
Uchyliła wieko grobu.

I zajrzała gorzka bieda  
Do drewnianej, skromnej chaty –  
Podupadło gospodarstwo,  
Gdy skrzętnego brakło taty.

I została panna sama  
W małej chatce obok młyna –  
Rozpacz jej rozdarła serce,  
Lecz modliła się dziewczyna

I wierzyła w zmianę losu,  
W wielką dobrotliwość Pana,  
I ufała w jego pomoc,  
Gdy klękała na kolana.

Aż raz nocą ktoś zastukał  
W drzwi cichutko o północy –  
Był to pątnik boso stopy,  
Który błąkał się w niemocy.

Kiedy panna zobaczyła  
Głód, łachmany oraz biedę,  
Zaprosiła go do stołu,  
Hojnie częstowała chlebem.

Gość ją pytał, jak tu żyje.  
Wtedy ona mu wyznała,  
Że wyzionął ducha tatko,  
I że sama tu została.

Gość posiedział, ogrzał stopy,  
Potem ruszył w dalszą drogę.  
Na odchodne dał jej mieszek  
I pozostać kazał z Bogiem.

W trzosie była tylko ziemia,  
Którą sypać kazał w rolę -  
Gdy tak panna uczyniła  
Krwawym makiem wzrosło pole.

Wtedy właśnie pan przejeżdżał  
W purpurowo złotej szacie –  
Zachwycony tym zjawiskiem  
U dziewczyny spoczął w chacie.

Rzekł, że Tarczyn mu na imię  
Przepraszając za swą śmiałość.  
I położył mak na serce  
Chwaląc jego doskonałość.

Dostrzegł skromność i urodę  
I rozliczne panny cnoty,  
Wyznał jej serdeczną miłość,  
Podarował pierścień złoty.

Nim wesele się odbyło,  
Księżę zabrał ją na zamek.  
Przed obrazem świętym padli,  
Wspólnie powiedzieli amen.

Długo żyli i szczęśliwie,  
Wychwalając Boże imię,  
Na pamiątkę tych wydarzeń  
Ziemie nazwano Tarczynem.

Ludzie bardzo ich kochali,  
Bowień serca dobre mieli –  
I w pamięci pozostali,  
Chociaż dawno przeminęli.

Trwa w Tarczynie czar i magia,  
Gdy się kwiatem ziemia kłania  
W czas wiosenny, w czas słoneczny!  
Dziwne rodzą się podania...

## **Wyróżnienie**

### **Godło – „Czarny wujek”**

**Waldemar Wyleziński (Konstancin Jeziorna)**

## **Legenda dziadka Michała**

Opowieść sprzed 100 lat mojego św. pamięci dziadka Michała Pągowskiego (1865-1950) obywatela Tarczyna, zwanego „Czarnym Michałem”, która jest naszą rodzinną legendą.

Dziadek od czasów I wojny światowej pełnił w Tarczynie służbę stójkowego, czuwając nocą nad spokojem i porządkiem w mieście. Były to czasy biedy i głodu, wyniszczonego okrutnością wojny kraju. Żywność była wtedy na wagę złota. Dla zaspokojenia głodu sięgano po chwasty, korę, wszystko co się udało zdobyć. Opowiadana przez dziadka historia wydarzyła się w czasie „Wielkiego Tygodnia”, przed świętami Wielkiej Nocy:

Owego dnia jak zwykle pełniłem nocną służbę, uzbrojony w dębową łagę i latarnię naftową jaką używano w wozach konnych. Obchodziłem Tarczyn zaglądając na podwórka przy rynku i ulice dookoła. Sprawdziłem na dole miasta teren przed bożnicą i mykwą, zamkniętymi już o tej porze na cztery spusty. Krążyłem po zamartym rynku doglądając geszefty żydowskie i nieliczne sklepiki katolickie z zamkniętymi okiennicami. Było spokojnie, nic się nie działo, tylko nieraz przebiegł beżpański pies, węsząc za jadłem. Idąc koło apteki zobaczyłem doktora Chaima Landaua, dobrodzieja biedaków tarczyńskich, których leczył często za darmo. Doktor wracał od cierpiącej starej Ryfki, handlarki łokciówką. Pozdrowiłem go i odprowadziłem w kierunku domu Władysława Mulewicza, naprzeciwko kościoła, gdzie doktor miał mieszkanie. Było już blisko północy i jak zwykle wszedłem na teren przykościelnego cmentarza. Zaraz za bramą, na wprost głównego wejścia przyklęknąłem żeby pomodlić się i podziękować Bogu za opiekę. Odmówiłem „Ojczy nasz”, „Zdrowaś Mario”, zacząłem „Wierzę w Boga”, gdy nagle silnie zawiąło od strony dzwonnicy. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem dziwne, silne światło w trawie przed dzwonnica. Przeżegnałem się nie kończąc modlitwy i ostrożnie podszedłem w tym kierunku. Stałem osłupiały. W trawie skąd biła luna, leżała czapka maciejówka, pełna

jajek. Z radością chwyciłem za czapkę ze skarbem, ale siły mi nie starczyło i nie mogłem jej podnieść z ziemi. Odetchnąłem, naprężyłem się i zastygłem w tej pozycji, słysząc za mną niezwykle głośno mówiący do mnie: „Dobry człowieku, te jajka będą twoje, ale...” – poderwałem się nagle, odwróciłem i zdębiałem z wrażenia. Przede mną stał paniczyk nikkczemnej postury, ubrany jak do ślubu, w cylinderku na głowie. Błady jak kreda ze zmrużonymi oczkami, w białych rękawiczkach i szalu zarzuconym na szyję. Patrzyłem na niego oszołomiony, czekając co dalej powie. Odezwał się, takim niezwykłym głosem, że aż zadrżałem: „Dostaniesz te jajka, jeśli coś zrobisz dla mnie”. Jak zahipnotyzowany natychmiast zawołałem: „Dobra, mów Pan!”. Paniczyk pokraśniał i z niezwykle uprzejmością w głosie zaczął mówić: „Dobry człowieku, to drobna i może dziwna dla ciebie przysługa, ale dla mnie najważniejsza jaka może być. Dostaniesz te jajka, jak weźmiesz mnie na plecy i trzy razy obejdziesz ze mną dookoła kościoła”. Zdziwiony, że paniczyk potrzebuje takiego kumaka jak ja i niczego więcej, bez namysłu dziarsko zawołałem: „No dobra, wskakuj Pan, jedziemy”. W mig wskoczył na mnie i biegiem ruszyłem z nim nie czując żadnego ciężaru. Pierwsze koło szybko przebiegłem i puściłem się w drugie. Ale w połowie okrążenia zwolniłem, bo poczułem już ciężkość na sobie, także nie mogłem biec, jedynie maszerowałem. Z wysiłkiem kończyłem drugie kółko, zziębnięty, obłany potem, próbując potrząsnąć paniczykiem, żeby zwolnił trochę uścisk, abym mógł głębiej odsapnąć. Paniczyk zaczął ciężać tak jakoś, że zacząłem już czuć jakbym dużego wieprza targał a nie takiego chuchraka. Z nadzieją, że tylko jedno kółko przede mną krok za krokiem szedłem dalej. Ale paniczyk z kroku na krok, tężał i ciężał mi już jak wół. Zacząłem wlec się noga za nogą i jakoś dobiegłem aż do wejścia do zakrystii. Tu nogi odmówiły mi już posłuszeństwa i padłem z paniczykiem jak długi, zalegając i wzdychając do Boga o pomoc: „Boże dopomóż mnie grzesznemu”. Odmówiłem jeszcze zdrowaśkę i jakoś podniosłem się na czworaka. Paniczyk złuzował trochę uścisk i poczułem jak dosiada mnie na oklep. Milczał jakby go wcale nie było. I już na czworaka ruszyłem w kierunku celu. Co kawałek przystawałem, łapiąc dech i prosząc Boga o pomoc. Nie mogłem zrozumieć jak taki kurdupel może mi tak ciężać. I tak wlokąc się, zbliżyłem się na wysokość ołtarza w kierunku dzwonnicy. Modląc się do wszystkich świętych z prośbą o wsparcie. Dzwonnica była już tuż, tuż, że widziałem blask bijący od jajek, ale siły mnie opuściły i roz-

ciągnąłem się jak placek, a paniczyk cisnął mnie jak głaz. Utraciłem świadomość nawet nie wiem na ile. Ale zimna rosa na trawie mnie ocuciła. Zacząłem ją zlizywać powoli odzyskując świadomość. Wola dobrnięcia do celu była ogromna, cały czas modląc się do Najjaśniejszej Pani, po kawałeczku czołgałem się niemilosierdzie przyciśnięty i trącający co chwila świadomość, brnąłem powolutku do przodu, który z Bożą pomocą osiągnąłem. Poczulem wielką ulgę, poderwałem się jak nowo narodzony, a cała męka spłynęła po mnie do ziemi. Paniczyk, który zeskoczył ze mnie, serdecznie, z radością przemówił: „Bóg ci zapłać, dobry człowieku. Jesteś moim zbawcą. Weź te jajka i spędźcie godnie z rodziną Święta Wielkanocne. Ja muszę wracać tam skąd przybyłem, gdzie może kiedyś się spotkamy. Pomogłeś mi wypełnić pokutę, która przez wiele lat na mnie ciążyła, za opuszczenie rezurekcji i procesji wielkanocnej, oddając się w tym czasie grzesznym zabawom. Bóg z tobą dobry człowieku” – powiedział i rozpląnął się w mroku.

Kochana babcia Julia, dobry duch rodziny Pągowskich, znana i szanowana w Tarczynie jako Pani Michałowa, wymieniła część jajek na inne produkty i wyprawiła niezapomniane Święta Wielkanocne.

Dziadek Michał często jest wspomniany w rodzinie, jako Michał jajcarz.



